

S. SIEROSŁAWSKI

OSADA
WŚRÓD PUSZCZY



II

OSADA WŚRÓD PUSZCZY.

Opowieść z dziejów kolonij amerykańskich.

Wedle „Historji Astoryi“ M. Feldego i „Wspomnień“
Waszyngtona Irvinga

opracował

STANISŁAW SIEROSŁAWSKI.



WARSZAWA.

Nakład Tow. Akc. Wydawniczego „Świat“.
Wydawnictwo „Przyjaciela Dzieci“

—
1 9 1 3.



93359/2

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.

K-81/79/105462

IX.

A s t o r y a.

Podczas swej wycieczki, która omal nie zakończyła się tak tragicznie, Mac Douga i Dawid Stuart wybrali najodpowiedniejsze miejsce pod przyszłą osadę. Kapitan Thorn zgodził się na nie również, tem bardziej, że pragnął jak najrychlej udać się w dalszą drogę, co mógł uczynić dopiero po wyładowaniu przywiezionych zapasów.

Pod wodzą Mac Dougala wyruszyli wspólnicy i część uczestników wyprawy wielką łodzią na obrane miejsce. Na wybrzeżu rozbito namioty. Cały krajobraz dokoła błyszczał przepyszną szatą wiosenną; słońeczko przyświecało wysoko, a serca wszystkich przejmowała radość i zadowolenie.

Wędrowcy wdrapali się na małe wzgó-
Osada wśród puszczy.

rze, skąd widać było doskonale ujście rzeki, nadbrzeżne skały i ławice piaskowe. Trudno było wymarzyć lepsze miejsce pod osadę. To też, podczas gdy oficer Howells, biorący udział w wycieczce, badał głębokość zatoki, aby się przekonać, czy „Tonquin“ może bezpiecznie do niej wpłynąć, wszyscy inni chwycili siekiery i łopaty, ścinali drzewa, wyrównywali powierzchnię ziemi, palili i wydzierali krzaki, oczyszczając miejsce pod domy mieszkalne, magazyny i skład prochu.

Po niewielu dniach ściany drewnianych budowli urosły już wysoko w górę. Tymczasem „Tonquin“ wpłynął do zatoki i zarzucił kotwicę niedaleko od brzegu. Na widok ten zapomniano wszelkich sporów i niesnasek. Osadnicy powitali statek radosnymi okrzykami i salwą z muszkietów, z pokładu odpowiedziano trzema wystrzałami armatniami.

Pracy było niemało; przenoszono na łód bogate zapasy i rozmieszczano w rozmaitych szopach; część wędrowców ujęła rydyle i motyki, używając okoliczną ziemię i siejąc na niej przywiezione nasiona zbóż.

Dokoła osady kręciło się ciągle wielu czerwonoskórych, przyglądających się pracy z zaciekawieniem i podziwem. Pewnego dnia przybył także wódz Comcomly, aby odwiedzić swych niedawno poznanych przyjaciół. Pod-

płynął najpierw ku statkowi, okrążył go kilkakrotnie, podziwiając wielkość i błyszczące armatki, potem zaś wszedł z dumnie wzniesioną głową na pokład i podszedł wprost ku kapitanowi.

Lecz Jonatan Thorn zbył go kilkoma lekceważącymi słowami i niebawem odwrócił się tyłem, nie troszcząc się wcale o osobę czerwonoskórego wodza.

Comcomly, obrażony, opuścił okręt i postanowił powrócić prosto do swej wioski. Na szczęście, Mac Dougal dowiedział się o zajściu, pośpieszył za wodzem, ułagodził jego obrażoną dumę, zaprosił do nowo budowanej osady i tam ugościł go jak najserdeczniej.

Ponieważ praca zbliżała się już ku końcowi, osadnicy postanowili wykorzystać obecność czerwonoskórego wodza i poświęcić uroczyste osadę. Budynki przybrano z zewnątrz i wewnątrz zielenią, na masztach wywieszono sztandary Stanów Zjednoczonych i barwne kawałki materyi, dzięki czemu całość przybrała świąteczny wygląd. Świątecznie też wystroili się wszyscy uczestnicy wyprawy, na całym wybrzeżu zamigotały czerwone płaszcze, ku ponownemu niezadowoleniu kapitana Thorna, który przy pomocy lunety obserwował z pokładu przygotowania.

W największej sali osady zastawiono

pełne potraw stoły, w głębi umieszczono na podwyższeniu krzesła dla współników przedsiębiorstwa i dla czerwonoskórego gościa. Dookoła podwyższenia, niby na książęcym dworze, stanęli pomocnicy kompanii handlowej, poza nimi kanadyjczycy i tubylcy, przywiezieni z wysp Sandwich, piękni, muszkularni mężczyźni o skórze miedzianej, w malowniczych szatach, plecionych z traw i włókien drzewnych.

Skoro Comcomly wszedł do sali, zaprowadzono go na przeznaczone dla niego krzesło, a naczelny wódz wyprawy, Mac Dougal, powstał, by wygłosić powitalną mowę.

— Z radością—rzekł—witamy wśród nas dzielnego naszego przyjaciela, wielkiego wodza ludu Czinuków, albowiem cieszy nas nawiązanie stosunków przyjaźni z sławnymi wojownikami tego szczepu. Dobry sąsiad jest największym skarbem, a ufamy, że czerwoni bracia będą dla nas dobrymi sąsiadami. Wielkie wynikną stąd dla nich samych korzyści. Osada, którą zbudowaliśmy, będzie się szybko powiększać, olbrzymie łodzie białych będą coraz częściej przybijać do tych brzegów, zabierając zakupione przez nas skóry i futra; dzięki temu powiększać się będzie majątek naszych czerwonych braci. Spodziewamy się, że wojownicy Czinuków zrozumieją te korzyści

i nie tylko wytrwają w przyjaźni, lecz popierać będą wszelkimi siłami nasze usiłowania, ponieważ tylko w ten sposób i oni i my osiągniemy oczekiwane wyniki.

Czerwonoskóry wódz odpowiedział na przemowę, ponawiając zapewnienia przyjaźni, której i on sam i jego naród dotrzymają po wieczne czasy. Przyniósł też pomoc swym białym braciom, zaznaczając podstępnie, że wzajemne podarunki utrwala obopólny związek.

Uczestnicy wyprawy powitali te zapewnienia radosnymi okrzykami, poczem wszyscy obecni zasiedli do stołów. Uczta składała się z gotowanego łososia, ze zwierzyny, zakupionej poprzedniego dnia od czerwonoskórych i z zapasów żywności, wyładowanych z magazynów okrętowych. Nie brakło też i kilku flaszek wódki, nazywanej przez tubylców, podobnie jak i w innych okolicach Ameryki, „wodą ognistą“.

Comcomly rzadko widywał w swym wigwamie podobne smakołyki, to też nie trzeba go było zachęcać do jedzenia i picia.

Kiedy już uczta zbliżała się ku końcowi, powstał drugi z współników, Mac Key, i przemówił następującymi słowy:

— Dwa są główne bogactwa kontynentu amerykańskiego, dwa główne przedmioty handlu: szlachetne metale na południu i ko-

sztowne futra na północy. Podczas gdy pyszny hiszpan wysyłał do Europy okręty, naładowane złotem i srebrem, francuzi, Anglicy i Amerykanie zajęli się handlem futrami, dającym niemińsze zyski. Znaczne już bogactwa osiągnęła z tego źródła nasza narodowość; przedsięwzięta przez nas wyprawa ma na celu rozszerzyć jeszcze naszą działalność w tym zakresie. Dwa zadania oczekują nas w najbliższej przyszłości. Jak wam wiadomo, ja udam się niebawem w dalszą podróż morską, aby nawiązać na północy stosunki handlowe z Rosyanami. Mam nadzieję, że uda mi się wypełnić szczęśliwie polecenia pana Astora i że odbędę tę podróż w najlepszej zgodzie z panem kapitanem Thornem.

Obecni uśmiechnęli się, pojmując złośliwość kryjącą się w tych słowach, odnoszących się do niezwalzonego uporu kapitana.

Mac Key przeczekał chwilę, a gdy znowu zapanowała cisza, mówił dalej:

— Tymczasem wy macie tutaj równocześnie wypełnić drugie zadanie: Musicie wzmocnić tę osadę i zamienić ją w niezdobytą twierdzę, przebiegać kraj we wszystkich kierunkach, polując na zwierzynę i nabywając futra od sąsiadujących z nami czerwonych braci. Musicie wreszcie utwalić tu panowanie Stanów Zjednoczonych, wyprzedzić

Anglików, którzy niewątpliwie, wcześniej czy później, pośpieszą w te strony, aby z nami współzawodniczyć. Rozporządzamy już dość znaczną siłą, a zwiększy się ona jeszcze po przybyciu wyprawy lądowej, zdążającej tu, do ujścia Kolumbii, poprzez prerye i łańcuchy gór, pod wodzą dzielnego Wilsona Hunta. Spodziewam się, że wzmocniwszy w ten sposób swe szeregi, wypełnicie plany głównego twórcy wyprawy, Jana Jakuba Astora i pozostaniecie im wierni.

— Tak jest! — zakrzyknęli obecni zgodnym chórem — wypełnimy wiernie i gorliwie nasz obowiązek!

— Dziękuję wam za to zapewnienie i w imieniu swoim i współników i w imieniu tego przedewszystkiem dzielnego i energicznego człowieka, który pierwszy pojął korzyści podobnego przedsięwzięcia, który obmyślił wszystkie jego szczegóły i nie zapomniał o niczem, jak się ciągle na nowo przekonujemy. Zamiarami jego nie kierowała bynajmniej chęć zysku; wzbogacając się sam, pragnie i ojczyźnie zapewnić nowe źródła bogactw, pragnie rozszerzyć jej granice państwowe i handlowe. Bo zastanówmy się tylko nad tem, co przyszłość może i powinna przynieść: Oto z tej małej naszej kolonii u ujścia Kolumbii, będącej pierwszą placówką cywili-

zacyi w dzikim zupełnie kraju, może powstać z czasem potężna stacya handlowa, która rozszerzy się daleko wzdłuż wybrzeży Oceanu Spokojnego; kolonia nasza może się stać z czasem zaczątkiem nowych prowincyi naszego amerykańskiego Związku stanów, powiększyć potęgę i bogactwo naszej ojczyzny. Więc Jan Jakub Astor jest nietylko dobrym i przedsiębiorczym kupcem, ale także dobrym i przewidującym synem swej ojczyzny. Dlatego w tej właśnie chwili, kiedy kładziemy niejako kamień węgielny pod przyszłe dzieło, jest naszym obowiązkiem wyrazić najgorętsze uznanie jego twórcy.

Obecni wzniesli głośny okrzyk na cześć Jana Jakuba Astora, wszystkich bowiem przekonaly w zupełności słowa mówcy.

Teraz powstał raz jeszcze Mac Dougal i gdy uciszyła się wrzawa, oświadczył:

— Nazwali już anglicy miejsce, na którym wznosimy naszą osadę; zowie się ono Point George. Ale osada nasza nie ma jeszcze nazwy. Zapał, jaki wywołały słowa poprzedniego mówcy, pozwala mi przypuszczać, że będę rzecznikiem uczuć wszystkich, jeżeli zaproponuję, aby na cześć Jana Jakuba Astora nazwać ją: Astoryą!

— Wiwat Astorya!—zawołali wszyscy.—
Niech żyje Jan Jakub Astor!

Kapitan Jonatan Thorn zaciął się znowu w uporze na widok czerwonych płaszców i przepychu, który uważał za śmieszny. Dlatego, chociaż wysłano mu zaproszenie na uroczystość, odmówił w niej udziału. Teraz jednak, gdy doniesiono mu o nazwaniu osady, rozchmurzył nieco czoło i rozkazał sześcioma wystrzałami armatniami uczcić nową kolonię i jej twórcę.

X.

Zima w skalnej pustyni.

Niejednokrotnie wspominali osadnicy Wilsona Hunta, pragnąc, by połączył się z nimi. Jeszcze częściej i tęskniej myślał Hunt o osadzie, która miała być rozkosznym schronieniem po trudach wyprawy.

A trudy te z każdym dniem stawały się coraz większe. Zrazu szli wędrowcy naprzód, krzepiąc się nadzieją na widok śnieżnych gór, u stóp których płynąć już miały wody Kolumbii. Po uciążliwej kilkunastodniowej wędrówce dotarli do brzegów rwącej, górskiej rzeki, którą nazwali „Szaloną rzeką“, z powodu jej wirów i prądów. Ponieważ przypuszczano, że wpływa ona do Kolumbii, część uczestników wyprawy zaprojektowała, aby zbudować nowe łodzie i odbywać dalszą podróż drogą wodną.

Wilson Hunt opierał się zrazu projektowi, później jednak uległ namowom.

Przez kilka dni jeszcze wędrowano wzdłuż wybrzeża, potem, kiedy napotkano lasy, których drzewo nadawało się na budowę łodzi, rozbito namioty i energicznie rozpoczęto pracę.

Ale spotkanie z dwoma czerwonoskórymi wojownikami ze szczepu Wężów, rozwiało żywione przez podróżników nadzieje. Indianie oświadczyli, że żegluga po rzece jest niemożliwa i że budowanie łodzi jest tylko niepotrzebną stratą czasu. To samo powiedział Piotr Dorion, który ze strzelbą na ramieniu zapuścił się na kilka mil naprzód, ścigając zwierzynę.

Przypadkowo odkryli myśliwcy, że w najbliższej okolicy znajdują się ogromne osady bobrów. Odkrycie zachęciło czterech z nich, między innymi także Jonatana Watersona, do pozostania w tej okolicy przez miesiące zimowe. Wilson Hunt nie sprzeciwiał się ich życzeniu; pozostawił im zapasy broni i amunicji, w zamian za to otrzymał przyrzeczenie, że na wiosnę przybędą do osady nad ujściem Kolumbii, przywożąc upolowaną zdobycz.

Reszta wędrowców ruszyła tymczasem dalej, prowadzona przez obu indyan, znają-

cych drogę poprzez góry aż do górnego biegu Kolumbii. Dzięki temu wędrowcy przestali się błąkać i szli bardziej utartymi, krótszemi szlakami.

Po drodze jednak jeszcze raz zmniejszyła się liczba uczestników. Znowu trzech myśliwców postanowiło pozostać w puszczy przez zimę, spodziewając się obfitego łupu.

Zmniejszona karawana dotarła wreszcie do rzeki Kolumbii. I znowu otucha wstąpiła w serca; wszyscy byli przekonani, że stąd już dojadą wygodnie aż do ujścia rzeki.

Walili się drzewa w lesie, zgrzytały piły, któremi przecinano je na deski, huczały młoty, wbijające gwoździe. W ciągu paru dni zbudowano i spuszczone na wodę piętnaście łodzi. Niepotrzebne już teraz konie oddano w opiekę czerwonoskóрым, którzy, otrzymawszy hojne wynagrodzenie za przewodnictwo, zgodzili się odprowadzić je do myśliwców, pozostałych w puszczy.

Wartki prąd sprzyjał żegludze, kanadyjczycy wyśpiewywali radośnie, a echo niesło daleko ich pieśni przez góry i lasy. Wprawdzie poranki bywały już coraz chłodniejsze, często padał mokry śnieg, zmieszany z deszczem, a sznury dzikich gęsi i kaczek, ciągnących ku południowi, zwiastowały zbliżającą się zimę, ale mimo wszystko wędrowcy

nie tracili nadziei, że jeszcze przed nadejściem zimy staną u celu.

W ciągu tego jednego dnia przebyto trzydzieści mil. Rzeka rozszerzała coraz bardziej swe koryto, płynąc coraz spokojniej. Wzdłuż lewego jej brzegu ciągnęło się dosyć wysokie, zalesione pasmo górskie. W oddali widać jeszcze było trzy śnieżne szczyty, które poprzednio służyły wędrowcom za wskazówkę.

Niestety, krótka była radość. Jeszcze jakieś dwadzieścia mil przepłynęli łatwo i bez wyteżenia, potem rzeka coraz wyraźniej poczęła znowu przybierać charakter rzeki górskiej. I na drugim brzegu wyrastały przed oczyma skały, zrazu dość niskie, później coraz to wyższe. Rzeka wiała się wśród nich w tę i ową stronę, zdradliwe prądy porwały nagle łodzie, pociągając je naprzód w szalonym pędzie.

Kanadyjczycy mieli teraz pole do popisu i w całej pełni wykazali swe zdolności żeglarskie. Natrafiano jednak i na takie wiry, przez które bezwarunkowo nie można było przepłynąć. Wówczas przenoszono łodzie i toboły wzdłuż brzegu, dopóki nie znaleziono miejsca, nadającego się do dalszej żeglugi. I wtedy jednak kanadyjczycy nie skarżyli się na trudy; śpiewając i żartując, dźwigali ciężary.

Natomiast reszta wędrowców posmutniała nieco, przyszłość bowiem przedstawiała się w coraz czarniejszych barwach. Nie znano rzeki, której falom powierzono swe losy; nigdzie na okół nie spotykano czerwono-skórych, którzy mogliby dać radę lub objaśnienie. Na obu brzegach rozciągało się pustkowie, nawet zwierzęta rzadko bardzo się na niem ukazywały.

Tymczasem prądy rzeki stawały się coraz zdradliwsze i niebezpieczniejsze. Nie brakło i nieszczęśliwych wypadków. Pewnego dnia przewróciła się jedna z łodzi, w której siedziało pięciu ludzi; czterech z nich uratowano, lecz jeden kanadyjczyk utonął, a prąd uniósł także sporo zapasów żywności i tobołów.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy dalsza żegluga okazała się niemal niemożliwa. Spiętrzone wody lały się korytem zaledwie dwudziestometrowej szerokości, zamkniętem z obu stron ścianami skalnymi, sięgającemi gdziegdzie aż na wysokość dwustu metrów. W wąwóz ten nawet najodważniejsi z kanadyjczyków nie śmieli się zapuścić.

Wilson Hunt zebrał wówczas starszyznę, aby się naradzić wspólnie, co dalej czynić. Postanowiono przedewszystkiem zaraz nazajutrz wysłać po kilku ludzi oboma brzegam

rzeki, aby zbadali, czy istotnie dalsza podróż wodą jest niemożliwa; Hunt sam stanął na czele jednego z tych oddziałów.

Wysłańcy wrócili z nader smutnemi wiadomościami. Idąc poprzez bagna, skały i przepaście, zbadali bieg rzeki na długości mniej więcej czterdziestu mil. Wszędzie brzegi były ogromnie wysokie i strome, koryto zaś niezmiernie wąskie i, co gorzej, poprzerywane tu i ówdzie wodospadami, lejącemi się z wysokości dziesięciu metrów i więcej.

Położenie naszych wędrowców stawało się wprost rozpaczliwe. Znajdowali się wśród puszczy, w której nigdy nie powstała jeszcze noga białego człowieka; nie znali drogi, nie wiedzieli, gdzie się znajdują i jak daleko jeszcze do celu podróży; co więcej, nie mogli napotkać nikogo, ktoby im udzielił upragnionych wyjaśnień. Wypadek, jakiemu uległo czółno, zmniejszył ogromnie zapasy żywności, tak, że posiadali prowiant, wystarczający zaledwie na pięć dni; do wszystkich więc istniejących już trudów przyłączało się jeszcze widmo głodu.

Znowu obradowano długo nad tem, co czynić. Ponieważ zaopatrzenie w żywność tak dużej gromady wędrowców nastęrczało znaczne trudności, postanowiono rozdzielić się na mniejsze oddziały, któreby wyruszyły w roz-

maite strony i dopiero w razie spotkania z przyjaźnie usposobionymi czerwonoskórcami, posiadającymi konie, powróciły donieść o tem głównemu oddziałowi wyprawy. Pozostawiono wszystkim zupełną swobodę działania, naznaczając tylko jako ostateczny cel drogi ujścia Kolumbii.

Zgodnie z tem postanowieniem zaraz następnego dnia trzy oddziały odłączyły się od głównej wyprawy. Mac Lellan udał się z biegiem rzeki, mając trzech ludzi do pomocy. Ramsay Crooks poszedł z pięcioma kanadyjczykami w górę rzeki, odbywając z powrotem wzdłuż brzegu podróz, którą wyprawa dopiero co ukończyła po falach rzeki. Zamierzał on w razie potrzeby dotrzeć aż do Indyan, którym oddano konie pod opiekę, odebrać zwierzęta i przyprowadzić na usługi wyprawy. Trzeci oddział, złożony z pięciu ludzi, pod wodzą Mac Kenziego, wyruszył również ku północy, poszukując innej drogi ku ujściu Kolumbii.

W głównym oddziale wyprawy pozostało pod wodzą Hunta trzydziestu jeden wędrowców. Najlepszych myśliwców rozesłał Hunt po okolicy, by dostarczyli zwierzyny, sam zaś, przy pomocy pozostałych zajął się ukryciem towarów, które dotychczas wzięto z sobą, a które teraz utrudniały dalszą drogę.

W tym celu postanowił urządzić tak zwa-

ne kaszety. Nazwa ta pochodzi od francuskiego słowa *cache*, co znaczy ukrywać, w Ameryce rozpowszechnili ją koloniści z Kanady i Luizyany. Ale tym samym sposobem posługiwali się już na długi czas przedtem czerwonoskórcy, ukrywając swe skarby przed wrogami podczas długotrwałych wypraw myśliwskich lub wojennych.

Urządzenie podobnych skrytek wymaga ogromnego sprytu i przezorności. Obrawszy odpowiednie miejsce, najczęściej w jakiejś dolinie lub na brzegu rzeki, rozpościera się dookoła na murawie deski, kawałki matery i szmaty, aby nie pozostawić śladów pracy. Potem wycina się kawał murawy, tak, aby nie uszkodzić korzonków, wykopuje się głęboki dół, sypiąc wydobywaną ziemię na rozciągnięte obok płachty. Ziemię tę wrzuca się później w rzekę, lub rozprasza się w niewielkich, nie zwracających uwagi ilościach możliwie najdalej od skrytki. Kiedy dół już gotowy, wyklada się go na spodzie suchą trawą, korą drzew i gałęziami, ukrywa się w nim cenne przedmioty, owinięte w skóry, napełnia się dół po brzegi gałęziami, kamieniami i ziemią, a udeptawszy mocno, nakrywa się wreszcie z powrotem wyciętymi kawałkami murawy, wyprostowuje się pogniecione źdźbła trawy i polewa wreszcie wodą.



Zazwyczaj już następnego dnia niewtajemniczone oko nie odróżni miejsca, gdzie znajduje się skrytka, od otaczającej murawy. Oczywiście tylko w takim razie, jeżeli przy budowie zachowa się wszystkie środki ostrożności.

Wilson Hunt urządził dziewięć takich kaszetów, zagrzebując w nich przeważną część towarów i broni.

Po trzech dniach powrócił niespodziewanie Ramsay Crooks ze swym oddziałem; napotkał na drodze nieprzebyte wprost złomy skalne i skutkiem tego musiał zawrócić z drogi. Tak więc jedna już nadzieja wędrowców rozproszyła się w niwecz.

Niebawem okazało się, że zawiodła i druga. Dwaj towarzysze Mac Lellana powrócili z smutną wieścią, że nigdzie na okół nie udało się znaleźć śladu czerwonoskórych. Donieśli również, że rzeka i w dalszym swym biegu płynie wąskiem, skalistym łożyskiem, że więc o podróży drogą wodną nie można nawet marzyć.

W obozie zapanował powszechny smutek. Nie było innej rady, trzeba było porzucić czołna, a równocześnie brak zapasów uniemożliwiał urządzenie zimowego obozu i przeczekanie w nim aż do cieplejszej pory roku.

Pozostawała zatem jedna tylko jedyna

droga: dalsza podróż ku wybrzeżu morza i ujściu Kolumbii, podróż przez dzikie pustkowie, bez żadnych zapasów, wśród śniegów i mrozów ostrej może zimy.

Każdy następny dzień powiększał obawy o przyszłość. Coraz mniej ryb łowiono w rzecce, coraz mniej zwierzyny znajdowano w zastawionych sidlach, coraz częściej wracali myśliwcy, po całodziennem błakaniu się z pustemi rękoma.

Aby tem łatwiej się wyżywić, postanowiono rozdzielić się znowu na dwa oddziały. Jeden złożony z ośmnastu ludzi, pod wodzą Wilsona Hunta, ruszył północnym brzegiem rzeki; drugi w tej samej liczbie poszedł na przód wzdłuż brzegu południowego, pod kierownictwem Ramsaya Crooksa.

Żegnano się ze smutkiem i dręczącą obawą, ale nie było innej rady.

Tak obwarowana i uzbrojona twierdza mogła się oprzeć w razie potrzeby nawet znacznej armii czerwonoskórców.

Ale na razie, stosunki z indyanami były jaknajlepsze; zarówno Czinukowie jak i inne mieszkające w pobliżu szczepy znosiły do osady zwierzynę, ryby i zwłaszcza futra, wymieniając je na szklane świecidełka, tytoń, noże lub ziarno zbóż.

Po ukończeniu prac w osadzie, postanowiono w myśl planów Astora rozszerzyć działalność na jeszcze większą przestrzeń kraju. W tym celu należało założyć wysuniętą w głąb lądu placówkę, która prowadziłaby handel futrami z dalszą okolicą. Utworzenie placówki wydawało się wspólnikom Astora tem pilniejsze, że w razie potrzeby mogłaby ona również przyjść z pomocą przybywającej lądem wyprawie Wilsona Hunta. Kierownictwo jej miał objąć Dawid Stuart, który też niebawem począł się gotować do drogi.

Tymczasem jednak zaszła nieprzewidziana przeszkoda.

Pewnego dnia ujrzano na rzece czółno, niepodobne do indyjskich łodzi. Mieszkańcy osady z zaciekawieniem zebrali się na brzegu rzeki, a młody Robert Stuart dojrzał nieba-

XI.

Chmury na widnokregu.

Ale i w Astoryi także nie wszystko działo się tak, jakby sobie tego życzyli kierownicy. Choć nie żywiono tu tak groźnych obaw i z ufnością spoglądano w przyszłość, mimo to na pogodnym dotąd widnokregu poczęły się pojawiać chmurki i chmury.

Kiedy „Tonquin“ podniósł kotwicę, udając się dalej na północ, zgodnie z rozkazami Astora, osadnicy rozpoczęli natychmiast budowę wielkiej twierdzy z kamienia. Otoczono ją dokoła wysokim wałem, usypanym z ziemi, na nim wzniesiono jeszcze palisady z grubych pni drzewnych, zaostrzonych na końcu, wreszcie na dwóch narożnikach postawiono dwie baszty, w których umieszczono czterofuntowe działa.

wem przez lunetę, że w czólnie siedzą biali ludzie.

Wszystkie serca rozradowała nadzieja, że to Wilson Hunt nareszcie przybywa.

Lecz doświadczony Dawid Stuart ochłodził te zapęły:

— Trudno mi w to uwierzyć — odezwał się. — Nawet wśród najpomyślniejszych okoliczności nie mógłby tak szybko odbyć podróży.

Luneta przechodziła z rąk do rąk. Kilku z obecnych znało dobrze Wilsona Hunta; ci oświadczyli z całą pewnością, że nie ma go wśród siedzących w łodzi.

Gdy po chwili czólny zbliżyło się jeszcze bardziej, ujrano mały sztandar angielski, przymocowany do burty.

— Miła niespodzianka — odezwał się Dawid Stuart z niezadowoleniem — nie czekaliśmy długo na naszych współzawodników.

Wreszcie łódź przybiła do brzegu. Przy wiosłach siedziało kilku kanadyjczyków, wychudłych i obdartych, co dowodziło, że żmudną i trudną odbyli podróż. Świadczył o tem także wygląd wysokiego, barczystego mężczyzny, który, wysiadłszy z łodzi, skierował się ku stojącemu na brzegu osadnikom. Bystrem spojrzeniem rozejrzał się dokoła i podszedł prosto ku Mac Dougalowi.

— Jestem astronom Dawid Thompson — oświadczył — i ośmielam się prosić panów o udzielenie mi i moim ludziom kilkodniowej gościny.

— Ja zaś nazywam się Mac Dougal — odpowiedział tenże.

— Ach! znam pańskie nazwisko. Do niedawna pozostawałeś pan w służbie angielskiej Północno - zachodniej Kompanii handlowej, z polecenia której tu właśnie przybyłem.

Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia, gość przedstawił się odrazu jako współzawodnik.

— No, nie obawiajcie się, panowie — odezwał się wreszcie anglik — wyprawa moja zakończyła się niepowodzeniem. Ci kanadyjczycy są obecnie jedynymi moimi towarzyszami, więc współzawodniczyć z wami nie mogę.

Wyjaśnienie to uspokoiło osadników: to też z całą gotowością ofiarowali anglikowi gościnę.

Dawid Thompson opowiedział im o trudach swej podróży, podczas której opuścili go niemal wszyscy towarzysze, przerażeni groźcami niebezpieczeństwami, tak że wreszcie sam tylko z ośmioma kanadyjczykami przedarł się przez puszcę. Ale opowiedział też równocześnie, że otrzymał od angielskiego towarzystwa polecenie, by wyprzedzić wyprawę

amerykańską i że jedynie nieprzewidziane wypadki przeszkodziły temu.

— A cóż zamierzasz pan teraz uczynić?— zapytał Mac Dougal.

— Pragnę wypocząć trochę, korzystając z udzielonej przez panów gościny — odparł Thompson — potem zaś powrócę tą samą drogą.

W kilka dni później Dawid Stuart wyruszył w zamierzoną podróż w górę rzeki. Astronom Thompson podążył z nim razem w tę samą stronę, zabierając list osadników do Jana Jakuba Astora. W liście tym dowódcy osady zdawali twórcy projektu sprawę z tego, co dotychczas uczynili.

Ponieważ Dawid Stuart zabrał z sobą kilkunastu osadników, załoga twierdzy znacznie się zmniejszyła. A tymczasem na widnokręgu zaczęły się pojawiać coraz czarniejsze chmury.

Czerwonoskórcy coraz rzadziej ukazywali się w osadzie, wreszcie przestali całkiem przychodzić.

— Ciekaw jestem, dlaczego nasi indyanie nie przynoszą teraz wcale futer ani zwierzyny — rzekł pewnego dnia Mac Dougal do młodego Stuarta, który powrócił z polowania, objuczony łupem. — Zdobycz pańska dowodzi, że nie brak zwierzyny jest tego przyczyną.

— Pragnąłem właśnie pomówić o tem z panem — odparł młody Robert. — I oznajmię panu bardzo niepomysłne wieści.

— Jakto? Cóż się stało?

— Zmęczony całodziennym uganianiem się za zwierzyną — opowiadał Robert — położyłem się na brzegu rzeki, w sitowiu, aby nieco wypocząć. Niebawem zbliżyło się ku mnie dwóch czerwonoskórych, łowiących ryby. Nie zauważyli mnie wcale, tem bardziej, że byli zajęci rozmową. Zrazu nie zwracałem na ich słowa uwagi, później jednak zacząłem nasłuchiwać. Opowiadali sobie, że niedawno temu odbyła się wspólna narada kilku szczepów, na której postanowiono wykorzystać osłabienie osady, napaść na nas i zrabować znajdujące się tu zapasy. Comcomly opierał się podobno zrazu temu projektowi, powołując się na związki przyjaźni z białymi, ale wreszcie musiał uleść większości. Usłyszawszy tę wieść, miałem w pierwszej chwili ochotę podnieść strzelbę, nastraszyć ich i zmusić do wyjawienia szczegółów zamierzonej napaści. Potem jednak rozmyśliłem się. W ten sposób dowiedzieliby się, że znamy ich niecne projekty, a zdaje mi się, że lepiej przygotować się w tajemnicy na ich przyjęcie.

— Tak jest; postąpiłeś pan bardzo roztropnie. Nie spodziewając się oporu z naszej

strony, napadną śmielej, nie zachowując potrzebnej ostrożności. Lecz teraz należy jak najrychlej obmyślić środki obrony.

Tego samego jeszcze wieczoru zawiadomiono wszystkich osadników o grożącym niebezpieczeństwie. Zaraz nazajutrz wzmocniono palisady i gdziekolwiek wycięto w nich otwory strzelnicze, wyznaczono stałą straż przy działach, przygotowano odpowiednią ilość amunicji, noc w noc rozstawiano na wałach posterunki.

Ale mijały dni i tygodnie, a nieprzyjaciel nie pokazywał się wcale.

Potem jednego i tego samego dnia nadeszły dwie wieści, jedna pocieszająca, druga bardzo bolesna.

Dawid Stuart nadesłał za pośrednictwem wędrownego indyanina list z doniesieniem, że wynalazł doskonałe miejsce na placówkę w odległości mniej więcej pięciuset mil, w okolicy, posiadającej nader łagodny klimat i zamieszkałej przez pokojowo usposobioną ludność tubylczą.

Drugą wieść, bolesną, zdobył przypadkiem Robert Stuart, który, mimo grożącego niebezpieczeństwa, nie zaniechał wycieczek myśliwskich. Otóż na polowaniu spotkał się znowu z czerwonoskórymi wojownikami, którzy ze złośliwą radością opowiedzieli mu, że

„wielki okręt z grzmotami“ nie powróci już do Astoryi, ponieważ został zniszczony przez czerwonoskórych na wybrzeżach „wielkiej wody“.

— Jeżeli wiadomość ta jest prawdziwa—rzekł Mac Dougal do zebranej załogi—to rzeczywiście ponieśliśmy ciężką stratę. Mimo to jednak nie należy tracić otuchy. Pan Astor czuwa nad powodzeniem naszej wyprawy i z pewnością pośpieszy nam z pomocą. Na razie trzeba tylko podwoić strażę i podwoić czujność.

I znowu dwa tygodnie przeminęły całkiem spokojnie.

Aż pewnej nocy strażnik na wałach zaalarmował osadę, usłyszawszy podejrzany szelest. Wszyscy pośpieszyli na wyznaczone stanowiska, stając w pogotowiu do walki.

Ale na okół panowała zupełna cisza; wydawało się niemal, że alarm był fałszywy, bo w ciągu całej nocy nie zauważono nic podejrzanego.

Tem większe było zdziwienie, gdy rano znaleziono przybity na zewnętrznej bramie pęk strzał, napojonych krwią.

— Otóż i wypowiedzenie wojny—oświadczył Mac Dougal, skoro doniesiono mu o tem.— Teraz wiemy przynajmniej, co nam grozi.

Niedługo później zbliżyła się ku twier-

dzy gromada indyan w wojennym stroju. Z pośród gromady wysunął się jeden czerwonoskóry w stroju marynarza amerykańskiego i podszedł aż pod same wały.

— Na Boga! Wydaje mi się, że to ten sam indyanin, którego kapitan Thorn zabrał z sobą jako tłumacza — szepnął Mac Dougal z przerażeniem.

— Kto jesteś i czego żadasz? — zapytał czerwonoskórego Robert Stuart, również zdęty obawą.

— Jestem Wahwoga, wojownik szczepu Czinuków—odparł zapytany.—Wahwoga przychodzi wam powiedzieć, że sam jeden tylko ocalał z pośród białych ludzi, znajdujących się na wielkim okręcie z grzmotami. Przychodzi powiedzieć, że nadaremnie oczekiwać będą blade twarze na powrót swych braci.

— Niechże Wahwoga wejdzie tu do naszego wigwamu, by opowiedzieć nam szczegółły zagłady wielkiego okrętu—odezwał się Mac Dougal.

— Niepotrzebna byłaby to droga. Wahwoga przychodzi powiedzieć także bladym twarzom, imieniem swych braci, że czerwoni wojownicy postanowili zniszczyć tę osadę. Ale pragną uniknąć rozlewu krwi i dlatego wzywają blade twarze do poddania się.

— Cóż zamierzasz pan odpowiedzieć? — spytał Robert Stuart Mac Dougala.

— Nie wątpię, że dzięki armatom i strzelbom naszym zdołamy się oprzeć natarciu czerwonoskórych — odpowiedział Mac Dougal po chwili namysłu. — Ale w takim razie mordercza walka będzie się przedłużać z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. I ostatecznie ulegniemy w niej, jeżeli nie otrzymamy rychło posiłków, bądź od Wilsona Hunta, bądź od Astora. A bądź co bądź narazimy naszwanek nasze przedsięwzięcie. Mojem zdaniem więc, lepiej spróbować jeszcze układów i forteli. W tym celu sam udam się do obozu nieprzyjaciół, a pan obejmiesz tymczasem dowództwo nad załogą.

Podobną odpowiedź dał Mac Dougal czerwonoskóremu posłannikowi i w towarzystwie dwóch myśliciów wyszedł poza wały, bezbronny, z zieloną gałęzią w rękę. Rozkazującym tonem zażądał, by go zaprowadzono prosto przed oblicze starszyny.

Rada wojenna wodzów indyjskich zebrała się na małej dolinie wśród lasu. Sędziwy starzec ze szczepu Czacopsów, noszący nazwisko „Silnej Ręki“, zapytał Mac Dougala, czego żąda. Ten zamiast wprost odpowiedzieć, rozpoczął podstępna rozmowę, aby poznać pierwiej usposobienie indyan i ich zamiary.

Czerwonoskórcy zarzucali białym, że, zamiast pozostać nad wybrzeżem oceanu i trudnić się wyłącznie handlem, zapuszczają się w głąb kraju, wycinają lasy, tępią zwierzynę. Były to oczywiście tylko pozory, dość niezręcznie obmyślane; istotną przyczyną rozpoczętej wojny była chęć grabieży. To było jasne. Lecz Silna Ręka przemawiał z zapalem o krzywdach, a inni wodzowie w milczeniu potakiwali głowami.

— A zatem czerwoni bracia—spytał wreszcie Mac Dougal — postanowili niezłomnie prowadzić walkę?

— Czerwoni wojownicy — odpowiedział Silna Ręka—nie mają innego wyboru.

— Boleję bardzo nad tem, że czerwoni wojownicy zamierzają postąpić tak nierozważnie — odezwał się Mac Dougal podniesionym głosem. — Czy czerwoni wojownicy nie zastanowili się, że biali osadnicy stawiają im opór i to skuteczny? I jakiż będzie wynik tej walki, jeżeli nie to, że zarówno czerwoni wojownicy jak blade twarze, nawzajem się pożrą? Czyż nie lepiej i nie rozważniej byłoby żyć w sąsiedzkiej przyjaźni?

— Czerwoni wojownicy — odpowiedział wódz z dumą i gniewem—nie pozwolą się pożreć bladym twarzom.

— Jednakże nie zdołają przeszkodzić swej

klęsce — oświadczył Mac Dougal stanowczym głosem.—Mało jest bladych twarzy w osadzie, to prawda. Ale za to posiadają doskonałe bronie, posiadają wiedzę, zwłaszcza wiedzę lekarską, co im bardzo ułatwi walkę. Spójrzcie oto, wielcy wodzowie—dodał, wyjmując z kieszeni zapieczętowaną flaszeczkę, którą w ostatniej chwili zabrał z apteczki w osadzie.—Tutaj oto, w tem naczyniu, ukrywa się straszna choroba, która przed niewielu laty licznych bardzo czerwonych wojowników na tem wybrzeżu zapędziła do krainy przodków. Tutaj, w tem naczyniu, kryją się straszne wrzody ospy.

Dowódcy cofnęli się, spoglądając z przerażeniem na flaszeczkę.

— Takich naczynek posiadamy kilka w osadzie — mówił dalej Mac Dougal z coraz większą pewnością siebie. — Teraz zamknięte są szczelnie. Ale wystarczy otworzyć je i wypuścić truciznę, by niebawem czerwoni wojownicy, ich skwawy i dziatki padali jak muchy w każdej wiosce.

Flaszeczka, którą Mac Dougal pokazał, zawierała oczywiście jakieś całkiem niewinne lekarstwo. Ale pogrożka wzbudziła przestrasz wśród indyan. Najstarsi z nich pamiętali jeszcze dobrze, że to blade twarze przywlekły

z sobą tę straszną chorobę, która zdziesiątkowała wioski czerwonoskórych.

Przestali grozić, a natomiast błagali, by blade twarze nie czyniły użytku z trucizny, przyrzekając w zamian dobowanie wieczystej przyjaźni.

W ten sposób Mac Dougal sprytnym fortem ocalił kolonię od grożącego jej niebezpieczeństwa i na długo zapewnił jej zupełny spokój.

XII.

Zagłada „Tonquina“.

Wieść o zagładzie „Tonquina“, który miał być podporą młodej osady, była, niestety, najzupełniej prawdziwa.

Kapitan Thorn wyruszył wraz z Mac Keyem na północ, zabierając jako tłumacza jednego z czerwonych wojowników. Uparty, jak zawsze, nie chciał posłuchać rady czerwonoskórego, który ostrzegał go przed wpływieniem do portu Newiti, zamieszkanego przed podstępne i zdradzieckie plemię Niunetów.

Zaledwie okręt zarzucił kotwicę, otoczył go tłum czółen indyjskich; czerwonoskórcy proponowali sprzedaż skór. Kapitan kazał im przybyć dopiero dnia następnego, co już obudziło pewne niezadowolenie. W ostatniej chwili Mac Key namówił kapitana, by zatrzy-

mał na statku sześciu indyan, jako zakładników, on sam miał udać się na ląd, aby osobiście porozumieć się ze starszyzną plemienia. Przyjęto go bardzo życzliwie, dzięki czemu zgodził się nawet przenocować w wigwamie jednego z wodzów, zamiast powracać na okręt.

Nazajutrz rano czerwonoskórcy przybyli znowu na pokład, pod wodzą sędziwego wodza, nazwiskiem Nukamisa.

Kapitan skorzystał z nieobecności Mac Keya i postanowił przyśpieszyć targi, sądząc, że zakupi futra po niższej cenie. Ale czerwonoskórcy żądali za każdą skórę trzy razy więcej, aniżeli im kapitan ofiarowywał. Tłómacz spostrzegł, że wódz Nukamis podtrzymuje ich w uporze i zwrócił na to uwagę kapitana. Było to tylko dolaniem oliwy do ognia. Kapitan rozgniewał się, a widok szyderczych uśmiechów starego wodza wyprowadził go całkowicie z równowagi. I gdy w pewnej chwili Nukamis podsunął mu bliżej skórę, wymawiając jakieś niezrozumiałe dla kapitana, lecz szyderczo brzmiące słowa, wyrwał mu skórę z ręki, uderzył go nią silnie w głowę i krzyknął groźnie:

— Wynoś się z pokładu łajdaku, bo każę cię powiesić na najwyższej reii.

Starzec stał osłupiały przez chwilę. Po-

tem wyprostował się nagle z młodzieńczą siłą, spojrzął dziko na kapitana i skinąwszy ręką na towarzyszy, w milczeniu opuścił statek. Wszyscy czerwonoskórcy pośpieszyli za nim.

— Obawiam się, kapitanie, że się to nie dobrze skończy—zauważył Howells, gdy ostatnie czółno oddaliło się od statku.—Te ponure milczenie bardzo mi się nie podoba.

— Ba! — odpowiedział kapitan, ciągle jeszcze z chmurą gniewu na czole.—Odkądże to panowie oficerowie stali się tchórzliwi, jak zające. Ten stary łajdak obraził marynarza Stanów Zjednoczonych i słusznie poniósł za to karę.

— Nie jestem bynajmniej tchórzem, kapitanie, i nie byłem nim nigdy. Ale jednak wydaje mi się, że najlepiej byłoby skorzystać z pierwszego podmuchu wiatru i rozpiąć żagle.

Kapitan nie odpowiedział wcale; chodził po pokładzie olbrzymimi krokami.

Mac Key, dowiedziawszy się o tem, co zaszło, natychmiast po powrocie na okręt pośpieszył do kapitana.

— Co słyszę?—zawołał.—Nawarzyłeś pan ładnego piwa. Bylebyśmy tylko nie musieli go wypić.

— Nie obawiaj się pan o to — warknął kapitan.

— Tak, trzeba jaknajszybciej rozwinąć żagle.

— Co? Czyś pan oszalał? Więc wyobrazasz pan sobie, że oficer Stanów Zjednoczonych będzie umykał przed kilkoma dzikimi?

— W obecnej chwili jesteś pan kapitanem statku Jana Jakuba Astora, który zalecił nam jaknajwiększą przeczność i łagodność w stosunkach z czerwonoskórymi.

— Ale nawet pan Astor nie może żądać, bym spokojnie patrzył, jak mnie taka banda brudasów bezkarnie obraża.

— Nie kłóćmy się w tej chwili. Myślmy raczej o tem, że statkowi zagraża bardzo poważne niebezpieczeństwo.

— Nie widzę żadnego zgola niebezpieczeństwa. Raczy pan zatem troskę o statek mnie wyłącznie pozostawić.

— Przypomnę panu kapitanowi tylko to, co nasz tłumacz mówił o tem plemienu. Z własnego doświadczenia dodam, że czerwonoskórzy mszczą się zawsze za zniewagę, wyrażoną swemu dowódcy. Dlatego więc proszę, abyśmy jaknajszybciej podnieśli kotwicę i ruszyli dalej na północ.

— Przenigdy nie zgodzę się na to. Cóż to? Czy uważasz mnie pan za tchórza?

— I ja nim nie jestem. Ale musimy zachować przeczność.

— Przeczność! przeczność! Spójrzyj pan na te błyszczące wyloty dział okrętowych, przypomnij pan sobie, ile doskonałych karabinów posiadamy na statku. Przeczność! Nabita armata i karabin, to najlepsza przeczność. A zresztą nie mówmy więcej o tem, zostajemy tutaj i basta!

Wobec oporu kapitana daremne były wszelkie prósy i namowy Mac Keya.

Przez cały dzień nie objawiali czerwonoskórzy żadnych nieprzyjaznych zamiarów. To też wieczorem kapitan Thorn rozstawił tylko zwykłe straże i udał się na spoczynek.

Nazajutrz o brzasku ujrzał Howells, pełniący właśnie służbę, dużą łódź indyjską, podpływającą ku statkowi i wiozącą dwudziestu czerwonoskórych. Spojrzawszy przez lunetę, przekonał się, że nie posiadają przy sobie broni. Dzicy, zbliżywszy się, podnieśli w górę kilka skór, na znak, że chcą rozpocząć na nowo przerwane targi. Ponieważ wyglądali pokojowo i ponieważ Mac Key był teraz obecny na statku, oficer pozwolił im wejść na pokład, sądząc, że w ten sposób załagodzi się może nieporozumienie, jakie wydarzyło się dnia poprzedniego.

Gdy jednak indyanie stanęli na statku, od brzegu odbiło drugie i trzecie czółno, nie-

bawem zgromadziło się ich bardzo wiele dookoła okrętu.

Zaniepokojony tem Howells, kazał natychmiast obudzić kapitana Thornę i Mac Keyę, zanim jednak obaj przybyli, na statku było już pełno czerwonoskórých.

Mac Key spostrzegł odrazu, że wszyscy byli ubrani w krótkie opończe, pod któremi łatwo można było ukryć broń. Dlatego też wezwał kapitana, aby natychmiast opróżnić pokład i rozwinął żagle. Jonatan Thorn opierał się zrazu, ale, widząc, że od wybrzeża nadpływają w dalszym ciągu łodzie, wydał marynarzom odnośne rozkazy.

Tymczasem jeden z czerwonoskórých, widocznie młody wódz, zbliżył się do Mac Keyę i rzekł:

— Jakże to? Błede twarze przygotowują swą wielką łódź do wyruszenia w drogę? Czyżby nie chcieli już zakupić skór, przyniesionych przez czerwonych wojowników?

— Owszem, chcieliśmy kupić te skóry, ale nasi czerwoni bracia żądali za nie nazbyt wiele—odparł Mac Key.

— Stary wódz Nukamis stawiał takie warunki, pragnąc swym braciom zapewnić jaknajwiększe korzyści. Ale czerwoni wojownicy zrozumieli teraz, że lepiej zadowolić się mniejszym zyskiem, niż nie osiągnąć żadnego.

I dlatego oddadzą te trzysta skór, które znajdują się w tej chwili na okręcie, za cenę, jaką ofiarowały im już blade twarze.

Była to propozycja nader korzystna, to też Mac Key polecił przynieść szybko na pokład zamienne towary. Indianie oddawali skóry bez targu. Biali, zajęci handlem, nie zauważyli jednak, że czerwonoskórzy, niemal bez wyjątku, wymieniali skóry na noże i że po dokonaniu przetargu, rozpraszali się po pokładzie, jakgdyby wędle jakiegoś obmyślanego z góry planu.

Tymczasem kapitan Thorn ukończył przygotowania do odjazdu. Co więcej, pomyślny wiatr uderzył w żagle. Nie należało zwlekać.

— Opróżnić pokład! — krzyknął kapitan donośnym głosem. — Kotwica do góry. Ruszamy!

W tej samej chwili rozległ się straszny wrzask, powtórzony równocześnie przez sto gardzieli. Czerwonoskórzy podnieśli w górę otrzymane noże i z wściekłością natarli na białych, nie posiadających wcale broni.

Krzyki rozpaczey i bólu zabrzmiały na całym pokładzie.

Mac Key padł uderzony w głowę krótką maczugą, pomocnik jego, Lewis, runął na schody, wiodące do kajut, ugodzony śmiertelnie nożem w plecy: marynarze ginęli jeden po

drugim, broniąc się tylko gołemi pięściami przed ciosami noży.

Z największą zawziętością nacierali czerwonoskórzy na znieawidzonego kapitana. Ten bronił się, jak szaleniec, szpadą, otaczając się wałem z ciał wrogów. Równocześnie zaś wołał bez przerwy:

— Trzymajcie się dzielnie, towarzysze! Śpieszcie do kajut po karabiny!

Ale atakowany z wszystkich stron, odniósł niebawem jedną i drugą ranę wskutek upływu krwi począł tracić siły, Wreszcie uderzenie maczugi powaliło go na ziemię; ciało, pokłute nożami, zrzucili indyjanie przez burłę do morza.

Tylko czterem marynarzom udało się przedostać do wnętrza statku. Zabarykadowali drzwi i pochwyciwszy karabiny, rozpoczęły strzelać przez otwory do wrogów. Strzały padały tak gęsto i celnie, że czerwonoskórzy umknęli, wreszcie z pokładu schronili się do swoich łodzi. Wraz z nimi zniknął także czerwonoskóry tłomacz.

Wtedy marynarze poskoczyli ku działom i posłali za uciekającymi kilka kartaczy. Skutkiem tego czołna oddały się z największą szybkością.

— Cóż teraz robić?—spytał jeden z ma-

rynarzy, kiedy ostatnie czołno indyjskie zniknęło im z przed oczu.

Przedewszystkiem obeszlą pokład dookoła. Ale tu leżały tylko trupy. Wrzucili je w morze, swoich i wrogów, potem zaś udali się do rannego Lewisa, opatrzyli mu ranę i ułożyli na posłaniu.

Zagadnienie, co robić dalej, znowu zajęło ich umysły.

O pokierowaniu statkiem i popłynięciu dalej nie mogli marzyć. Liczba obecnych nie wystarczała do obsługi żagli i steru. Już słaby wichur mógłby ich cisnąć o nadbrzeżne skały.

Zgodzili się wreszcie, by przenieść do wielkiej łodzi ratunkowej trochę zapasów żywności i amunicji, spuścić łódź na morze po zapadnięciu nocy i popłynąć z powrotem do Astoryi.

Lewis jednak nie zgodził się towarzyszyć im w podróży.

— Bliżej mi do śmierci, aniżeli do życia—rzekł.—Byłbym dla was tylko niepotrzebnym ciężarem, a tymczasem tutaj mogę się jeszcze na coś przydać. Te czerwone dyabły nie będą tryumfować ze zwycięstwa nad bezbronnymi.

Marynarze przypuszczali, że bredzi w go-

rażące i przestali go namawiać, by im towarzyszył.

Wieczorem wykonali powzięty plan i ruszyli na morze.

Niestety, silny wicher przeszkadzał im w podróży. Zmęczeni walką z żywiołem, wylądowali, aby nieco wypocząć. Niebawem jednak wpadli w ręce czerwonoskórych i powiększyli liczbę ofiar strasznego pogromu.

Lewis, pozostawszy sam na okręcie, zwłókł się z posłania i udał się przedewszystkiem do składów prochu. Z niezmiernym wysiłkiem otworzył wszystkie beczki, jedną przewrócił i zawartość jej rozsypał po podłodze. Potem wyszukał kilka lontów i założył je w ten sposób, że jednym końcem sięgały aż do prochu, drugim zaś daleko poza drzwi składu amunicji.

Dokonawszy tego, powrócił na pokład, napił się odrobinę wody, owinął ranę mokremi szmatami i cierpiąc strasznie, przeleżał noc całą bezsennie.

Poczęło świtać. Statek jeszcze ciągle znajdował się w tem samym miejscu. Widocznie śmierć zaskoczyła marynarzy szybciej, zanim zdolali przytwierdzić kotwicę, a ciężar spadł z powrotem na dno morza. Wiatr uciszył się zupełnie, żagle bezwładnie zwisały na rejach.

Lewis podniósł się z trudem i spoglądał w stronę wybrzeża.

Nagle twarz jego ożywiła się.

— Nie myliłem się — szepnął. — Ale daremne ich nadzieje. Statek nie stanie się ich zdobyczą.

Od wybrzeża wypłynęło ostrożnie kilka łodzi, kierując się ku statkowi. Gdy siedzący w nich spostrzegli, że na pokładzie panuje zupełna cisza, podpłynęli bliżej, a równocześnie na dany przez nich znak szereg innych łodzi ruszył ich śladem.

Wtedy Lewis cofnął się w głąb statku, ukrył się w części, zawierającej składy prochu i zatrzasnął ciężkie drzwi za sobą.

Niebawem usłyszał lekkie, skradające się kroki na pokładzie; potem odgłos kroków stał się głośniejszy; w chwilę później rozległy się okrzyki tryumfu, którym odpowiadała z morza coraz bliższa i rosnąca wrzawa.

Wzmagał się hałas na statku, dzicy rabowali bogato zaopatrzone magazyny okrętowe.

Nagle straszny huk, błyskawica, olbrzymia chmura pary wodnej i dymu.

Okręt, rozerwany w tysiąc kawałeczków, wyleciał w powietrze, grzebiąc Lewisa, kilku-

dziesięciu czerwonoskórych i kilkadziesiąt łodzi, znajdujących się w pobliżu.

A potem nastąpiła cisza, przerażająca ci-sza śmierci.

Wszędzie naokół pływały rozerwane szczątki drzewa i szczątki ciał ludzkich.

XIII.

W ucieczce przed śmiercią.

Aczkolwiek pomysł Mac Dougala zapewnił osadnikom spokój, to jednak panowało w Astoryi niemałe przygnębienie. Stracili przecież „Tonquina“, który miał być ich podporą w tej puszczy dzikiej, dowożąc im potrzebne zapasy towarów i amunicji.

— Jestem przekonany — rzekł pewnego wieczora Mac Dougal do młodego Stuarta— że Astor wyśle nam w najbliższej przyszłości nowy statek. Zbyt wielkie nadzieje przywiązuje do swego planu. Ale któż może przewidzieć, czy statek ten istotnie dotrze do tych odległych wybrzeży.

— Nie powinniśmy tracić nadziei—odpowiedział młodzieniec. — Prawdę mówiąc, bardziej niepokoi mnie los Wilsona Hunta, odkąd

wiemy z ust astronoma Thompsona, jak straszne trudności trzeba zwalczyć w tej drodze lądowej. Przecież to rok już dobiega końca, od czasu wyruszenia wyprawy.

— Tak jest istotnie. A pomoc jego bardzo by się nam tutaj przydała.

Niejednokrotnie prowadzili takie rozmowy. I niejednokrotnie zwodziła ich złudna nadzieja.

Pewnego dnia doniesiono im, że jakaś wielka łódź zdążyła ku ujściu rzeki. Pobiegli pośpiesznie na wybrzeże. Niestety, nie był to oczekiwany Hunt, lecz łódź z placówki Dawida Stuarta. Stryj Roberta donosił, że w górach spadają śniegi i odsyłał kilku strzelców, potrzebniejszych podczas zimy w głównej osadzie, aniżeli w odległej placówce.

Tymczasem ukończono budowę małego, zgrabnego statku, którego części składowe przywiózł jeszcze „Tonquin“. Spuszczono go uroczyście na wodę, nadając mu nazwę „Dolly“. Mac Dougal odbył zaraz na jego pokładzie kilka wypraw myśliwskich; było to tem koniecznijszem, ponieważ czerwonoskórzy cofnęli się już w głąb lasów do obozów zimowych i zaprzestali dostarczać zwierzyny. A zima była za pasem, należało uzupełnić środki żywności.

Dzień za dniem upływał wśród zwykłych

zajęć. Na przemian padał deszcz lub śnieg; zimno było coraz dotkliwsze.

Nowy rok obchodziła osada z wielką uroczystością. Wywieszono na twierdzy sztandary, wystrzelono salwy powitalne z dział i strzelb; weseli kanadyjczycy tańczyli niemal przez noc całą.

W pierwszych dniach stycznia znowu ukazała się łódź na rzece. Tym razem wszyscy byli przekonani, że to Wilson Hunt przybywa nareszcie. Cała osada wyległa na brzeg, a Mac Dougal, nie czekając nawet, aż łódź się przybliży, rozkazał dać sygnał armatni.

Łódź skierowała się ku twierdzy, osadnicy ujrzeli wreszcie kilka wychudłych, zdziuczonych postaci, okrytych opadającymi z ciałachmanami.

— Który z panów jest Wilson Hunt? — zapytał Mac Dougal, zaledwie przybysze stanęli na lądzie.

— Wilson Hunt? — powtórzył wysoki, barczysty mężczyzna, wychudzony tak samo, jak wszyscy jego towarzysze.—Wilson Hunt? Bogu jedynie wiadomo, gdzie jest obecnie Wilson Hunt... Zapewne wśród puszczy, gdzie walczy ze stokroć gorszymi trudnościami, aniżeli te, jakie my musieliśmy zwalczyć, zanim dostaliśmy się tutaj... Spoglądacie panowie na mnie ze zdziwieniem; nie wiecie kto je-

stem... Jestem Mac Kenzie, jeden z uczestników tej nieszczęsnej wyprawy, która znosić musiała cierpienia, trudne do opisania. Ale przedewszystkiem błagam was, dajcie moim biedakom kęs mięsa, którego nie widzieli już dawno, dajcie im szmat ciepłej odzieży, ponieważ umierają z zimna.

Żądanie to wypełniono z pośpiechem, wszyscy usiłowali usłużyć czemś wynędzniałym gościom. Gorąca strawa, orzeźwiający napój, a przedewszystkiem okazywane uczucia przyjaźni i sympatyi dokonały cudów. Niebawem rozwiązały się języki, krzyżowały się pytania i odpowiedzi. Mac Kenzie opowiedział najpierw przygody wyprawy aż do chwili, kiedy Mac Lellan i on sam odłączyli się od głównego oddziału.

— Ale cóż się dzieje z Huntem? — ponowił zapytanie młody Robert Stuart.

— Powiedziałem już, że Bogu jednemu to wiadomo. Ale, wnioskując z tego, co myśmy sami wycierpieli, nie zdziwiłbym się wcale, gdyby w najbliższej przyszłości nadeszła wieść o śmierci tego dzielnego człowieka.

Wszyscy słuchający milczeli, przejęci mimowolną zgrozą.

— Bóg mi świadkiem — mówił dalej Mac Kenzie — że chętnie oddałbym własne życie,

byleby go ocalić. I nie tracę jeszcze nadziei, że może jednak ujrzymy go tutaj. Ale jakże słaba ta iskierka nadziei. Bo nie macie wyobrażenia, panowie, jak straszna jest ta puszcza zimową porą. Nas było tylko jedenastu, a i tak omal nie zginęliśmy z głodu. A Hunt musiał żywić czterdziestu ludzi... Ale posłuchajcie mego dalszego opowiadania! Kiedy po kilkudniowym błakaniu się spotkałem się wreszcie z oddziałem Mac Lellana, do którego należał także Jan Reed, mieliśmy jeszcze codziennie przynajmniej talerz zupy lub kawałek mięsa. Potem jednak wyczerpały się zapasy. Nadaremnie szukaliśmy jakiegoś legowiska indyan. A tymczasem do głodu przyłączyło się jeszcze pragnienie.

— Wszakże opowiadałeś pan, że podróżowaliście brzegiem rzeki — wtrącił Robert Stuart.

— Tak jest, ale szliśmy ciągle szczytami górskimi, a rzeka pieniała się i huczała w tak głębokim wąwozie, że rzadko tylko udawało się do niej dotrzeć. To też nieraz znosiliśmy prawdziwe męki Tantala; widzieliśmy wodę tak blisko obok siebie, a jednak tak daleko. Całymi dniami nie spotykaliśmy śladu zwierzyny, strzelby beczynnie wisiły na ramionach; niejednokrotnie żywiliśmy się skórami bobrów, przypiekanemi na ogniu. Ale i te

skóry wyczerpały się nareszcie. Pewnego dnia rozszalała straszna śnieżycą. Wyczerpani zmęczeniem, bezsilni, nie mogliśmy się opierać huraganowi, przykucnęliśmy więc pod wystającą skałą, oczekując pewnej śmierci. Powoli upływały godziny. W tej to rozpaczliwej chwili Mac Lellan stał się naszym zbawcą. I on leżał pod skałą, prawie nieprzytomny. Nagle na pobliskim wzgórzu ujrzał łeb kozicy. Żelaznym wysiłkiem woli podniósł się, pochwycił strzelbę i podniecany pragnieniem ocalenia towarzyszy, skradał się powoli i ostrożnie ku płochliwej zwierzynie. Nareszcie powalił ją celnym strzałem. Padła na miejscu, na szczęście, ponieważ nie miałby już sił ścigać ranionej. Huk wystrzału ożywił nas wszystkich. Mac Lellan przywłókł zdobycz aż do naszego przygodnego schroniska, rozpaliliśmy ogień, ale roztropnie zadowolniliśmy się na początek tylko pokrzepiającą, soczystą zupą; mięso zachowaliśmy na później.

— Nie koniec był na tem naszych cierpień—opowiadał dalej po chwili przerwy, spowodowanej wzruszeniem na wspomnienie strasznych przeżyć.—Nieraz jeszcze dokuczył nam głód i pragnienie, choć nie w tak strasznym stopniu. Wreszcie koło jednego z dopływów Kolumbii spotkaliśmy gromadę czerwonoskórców, którzy dali nam kilka psów, trochę su-

szonych ryb, a, co najważniejsze, odstąpili nam dwa czółna. Dzięki ich uprzejmości i dzięki temu, że od tego miejsca rzeką nadawała się już do żeglugi, przebyliśmy resztę drogi szybko i bez trudu. Oto dzieje naszej podróży. I powiedzcie teraz panowie sami, czy nie słusznie obawiam się o losy naszego przyjaciela, Wilsona Hunta.

* * *

Losy Wilsona Hunta i jego towarzyszy były istotnie strasznie opłakane. Hunt wyruszył wzdłuż północnego brzegu rzeki, Ramsay Crooks szedł brzegiem południowym.

Z początku napotymano niekiedy drobne szczepy indyan, Hunt nabył od nich kilka koni do dźwigania tobołów i dzięki temu przez parę dni szybciej posuwał się naprzód. Ale potem, w złej godzinie, uległ namowom kilku czerwonoskórców i za ich poradą opuścił brzeg rzeki i ruszył drogą przez preryę. Odtąd tragedia wyprawy potęgowała się z dniem każdym. Najpierw zaczęło brakować wody, potem trzeba było kolejno zabijać konie, z braku innych środków żywności. Coraz bliżej przed wędrowcami piętrzyły się olbrzymie góry, całe spowite śniegiem.

Hunt, doszedłszy do niewielkiego stru-

mienia, postanowił iść dalej jego brzegiem. Ale wpadł w przesmyki górskie, niezmiernie kręte, w istny labirynt, zasypany śniegiem. I po kilku dniach przekonał się, że nie tylko nie posunął się naprzód, ale, okrążywszy niepotrzebnie olbrzymi kawał puszczy, powrócił niemal w to samo miejsce, skąd poprzednio wyruszył w preryę.

Przebyto jeszcze kilkadziesiąt mil wśród nieopisanych trudności, zdobyto po drodze jeszcze kilka koni i nieco żywności. Wędrowcy byli tak wyczerpani, że dalsza podróż wydawała się niemożliwa. Wobec tego Hunt zeszedł ze swym oddziałem na sam brzeg rzeki i postanowił tu przezimować.

Nagle jednak także na przeciwległym brzegu pojawili się ludzie. Gdy Hunt przybliżył się ku nim, rozpoznał Ramsaya Crooksa i jego towarzyszy. W innych okolicznościach spotkanie wywołałoby największą radość, teraz jednak Hunt patrzył z rozpaczą na oddział, umierający wprost z głodu i wycieńczenia, wyciągający ku niemu błagalnie dłonie.

Natychmiast kazał sporządzić łódkę ze skóry zabitego konia. Indianie budują często takie łódki, łącząc brzeg skóry rzemieniami i naprężając ją umieszczonemi wewnątrz pałkami z twardych gałęzi.

Jeden z kanadyjczyków przepłynął w tem

czólnie na drugi brzeg rzeki, wioząc dla niešťczęśliwych towarzyszy pieczone mięso końskie, w powrotnej drodze zaś przywiózł z sobą Crooksa.

Dowódcy obu oddziałów poczęli teraz rozmyślać, co dalej czynić. Zapasy żywności były tak małe, że wszyscy nie mogliby się niemi wyżywić przez ciąg zimy. Trzeba było zatem iść dalej. Ale dokąd? Moźnaby odszukać jakiś mały szczep indyjski i w jego zimowym obozie przepędzić te kilka miesięcy. Ale Wilsonowi Huntowi spieszyło się na ujście Kolumbii. Któż zresztą mógł zaręczyć, czy w drodze do obozu czerwonoskórych nie napotkają na takie same trudności, jeżeli nie na gorsze jeszcze? Czy nie narażą się na większą jeszcze nędzę, niż dotychczas? Przecież w ostatnich wigwamach nie znajdowano nic więcej, prócz dzikich suszonych jagód i koni tak chudych, że kości przeglądały przez skórę.

Pozostawała jeszcze prosta droga do celu, droga trudna, daleka, ale zapewniająca największe korzyści w razie jej szczęśliwego przebycia. I na tę drogę zgodzili się ostatecznie obaj przywódcy wyprawy. Zawiadomiono o tem towarzyszy na przeciwległym brzegu, przy pomocy czólna dowoźono im codziennie pewną ilość żywności.

Niebawem jednak Ramsay Crook i jeden z kanadyjczyków osłabli do tego stopnia, że nie mogli iść dalej.

Hunt nie mógł się niemal wahać, co uczynić. Zatrzymać z powodu ich choroby całą wyprawę, to znaczyło odwlec chwilę ocalenia, przysporzyć kilkudziesięciu ludziom nowych cierpień. Z bólem serca pożegnał się więc z Crooksem, pozostawił mu, ile mógł, żywności, pozostawił mu dwóch kanadyjczyków, aby się nim zaopiekowali i zalecił, aby wypocząwszy, spieszył dalej jego śladem.

Jakby w nagrodę za tę dobroć serca, następnego dnia szczęście znowu uśmiechnęło się do wyprawy. Natrafiono na drodze na zimową chatę indyjską, obok której pasło się kilka koni. Mieszkańcy uciekli z przerażeniem na widok białych. Hunt nie mamysłał się długo. Jednego konia poćwiartowano zaraz i upieczono; na drugim wyruszył kanadyjczyk, aby przywieść chorego Ramsaya Crooksa. I towarzyszą na przeciwnym brzegu rzeki przesłano obfitszą, niż zazwyczaj, porcję żywności.

Ramsay Crooks postanowił pozostać w chacie, dopóki zupełnie sił nie odzyska, razem z nim pozostało trzech kanadyjskich strzelców, którzy przywiązali się do niego podczas podróży.

Wilson Hunt pozostawił hojne odszkodowania dla właścicieli koni, aby nie budzić ich nienawiści i zapewnić Crooksovi bezpieczeństwo na wypadek ich powrotu.

Dwadzieścia dni trwała jeszcze wędrówka przez śniegi i góry. Wreszcie podróżnicy, po długich tygodniach cierpień i niedostatku, stanęli poza olbrzymami skalnymi, wyszli na otwartą równinę.

Niebawem dostali się do małej wioski indyjskiej, której mieszkańcy, przyjaźnie dla białych usposobieni, odstąpili im chętnie kilka psów, kilka koni, trochę suszonych ryb i jagód. Co więcej, udało się namówić trzech czerwonoskórych wojowników, znających okolicę, by towarzyszyli wyprawie, jako przewodnicy.

I w tej wiosce postanowiło pozostać kilku wędrowców, nie mających już sił do dalszej podróży. Wilson Hunt ze smutkiem godził się na to, ponieważ liczba uczestników wyprawy bardzo znacznie się już zmniejszyła. Towarzystwo mu teraz, po złączeniu oddziałów z obu brzegów rzeki trzydziestu dwóch białych i trzech czerwonoskórych; pięć wynędzniałych koni dźwigało toboły.

W wigilię Nowego Roku dotarł oddział do rozległej doliny, gdzie nie było już śniegu. Po kilkudniowym wypoczynku, który pokrze-

pił wszystkich, z większą otuchą w sercu puszczono się naprzód. Coraz liczniej napotymano tropy jelenie; niejedno zwierzę udawało się powalić celnym strzałem.

Aż nareszcie pewnego dnia ukazała się oczom wędrowców ogromna osada czerwono-skórych. Mieszkało tu plemię Skiatogas, trochę podejrzliwie wobec białych usposobione, ale na ogół przychylnie i gościnne. Trudno opisać radość wędrowców, kiedy dowiedzieli się, że od wielkiej rzeki Kolumbii dzieli ich zaledwie dwa dni drogi.

Jeszcze większa była radość, skoro ujrzeli własnymi oczyma majestatyczne koryto rzeki, a od napotkanych po drodze indyan dowiedzieli się, że przy ujściu rzeki osiedlili się biali ludzie, którzy zbudowali wielki dom i otoczyli go palisadami.

Niewłócznie chwycili wędrowcy siekiery, aby zwalać olbrzymie drzewa i budować z nich łodzie. Robota paliła się im w rękach; nie spoczęli, póki małe statki nie kołysały się na falach rzeki.

I nareszcie pewnego popołudnia stanęli u celu podróży, ujrzeli Astoryę, obwarowania, budynki mieszkalne i magazyny osady.

Po jedenastomiesięcznej wędrówce, w której groziły im tysiączne niebezpieczeństwa, w której niejednokrotnie upadali niemal

z wyczerpania i głodu, dotarli szczęśliwie do celu.

I znowu osadnicy witali z radością gości na wybrzeżu, a na czele wszystkich stali ci, których Hunt uważał już za straconych: Mac Kenzie i Mac Lellan.

— Jest Bóg na niebie i jest miłosierdzie Boże! — wołał Mac Kenzie, ściskając Wilsona Hunta, jak brata.—Dawno już straciliśmy nadzieję zobaczenia was tutaj.

— Tak, dziwne były nasze losy i dziwne przygody — odparł ze wzruszeniem Wilson Hunt, ocierając łzę radości, spływającą po wychudłych policzkach.—Tak! I Bogu niech będą dzięki, że łaską swoją doprowadził nas tutaj. Czerpię stąd nadzieję, że pomyślnie też wypełnimy zadania, jakie nas tu czekają.

XIV.

Jan Jakub Astor.

Podczas gdy w Astoryi barometr szczęścia to opadał, to wznosił się w górę, twórca wielkiego planu przebywał w Nowym Jorku i skutkiem powolnych i utrudnionych w owe czasy środków komunikacyjnych nie wiedział wcale, jakie są losy jego dzieła. Doniesiono mu z Kantonu, że na zachodnim wybrzeżu Ameryki północnej zatonał jakiś statek, uzbrojony jak okręt wojenny. Ale czyż mógł być pewnym, że to właśnie „Tonquin“? Obawiał się o to, lecz nie miał pewności. Doszły też do jego uszu pogłoski, jakoby Wilson Hunt został napadnięty przez indyan i zginął wraz z wszystkimi członkami swej wyprawy. Ale i to była tylko pogłoska.

Pocieszał się, że są to bądź fałszywe, bądź złośliwie rozpущone wieści. Wiedział

przecież, że angielscy handlarze futer w Kanadzie poruszają wszystkie sprężyny, by pokrzyżować i udaremnić jego plany. Lecz był mężem czynu i niespożytej energii, zamiast stracić nadzieję, obmyślał nowe szczegóły i środki.

Pewnego dnia siedział właśnie w swym gabinecie i dyktował pomocnikowi list do ówczesnego sekretarza stanu, a późniejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Jamesa Monroego, twórcy słynnego hasła, po dziś dzień brzmiącego w polityce amerykańskiej: „Ameryka dla amerykanów!“

List brzmiał, jak następuje:

„Panie sekretarzu stanu!

„Jesteś pan wybitnym mężem pod każdym względem. Obok licznych, nieocenionych usług, oddanych krajowi, umiałeś pan również użyć najpotężniejszych środków, aby ochronić rozwój naszego handlu i oprzeć go na swobodniejszych i doskonalszych podstawach. Pan też urzeczywistniłeś ostatecznie zamiary Rządu Związkowego, aby nie zcierpieć mieszania się obcych do wewnętrznych spraw Związku państw Ameryki północnej i państw południowo-amerykańskich.

„Znane jest panu dzieło, jakie powołałem do życia. Na dalekim zachodzie, na wybrzeżach Oceanu Spokojnego, założyłem kolonię,

która nietylko służyć ma moim interesom, lecz która, jak tuszę, stanie się z czasem punktem środkowym i jądrem wielkiej, szeroko rozgałęzionej sieci handlowej, mogącej pod względem gospodarczym zapewnić nam bardzo znaczne korzyści, i z której, wcześniej czy później, utworzy się potężne państwo amerykańskie.

„Niestety, przedsięwzięcie moje, służące także ogólnym i patriotycznym celom, musi walczyć z współzawodnictwem angielskim, Anglicy zaś wytyżają przeciwko niemu całą potęgę swej zawiści i zgotowali mu już wiele dotkliwych trudności. W ostatnim czasie coraz częściej mówi się też o nieuniknionym wybuchu wojny z Anglią, która nie mniej naraziłaby na szwank powodzenie mego przedsięwzięcia.

„Wobec tego osmielam się zanieść do pana następującą, skromną prośbę, do czego upoważnia mnie zarówno narodowy cel przedsięwzięcia, jak i przyrzeczona mi już pomoc ze strony Rządu Związkowego. Proszę o wysłanie nad ujście Kolumbii, możliwie najrychlej, małego oddziału wojsk rządowych, przynajmniej na ten przeciąg czasu, póki sam nie postaram się o potrzebne wzmocnienie załogi i nie wyślę na miejsce posiłków. Wedle me-

go przekonania, wystarczy jeden obrotny oficer i czterdziestu do pięćdziesięciu ludzi.

„Kreślę się oddanym sługą
„*Jan Jakub Astor*“.

— Tak—odezwał się Astor do pomocnika, skończywszy dyktować. — Przepiszesz pan ten list i wyślesz niezwłocznie do pana sekretarza stanu. Proszę o utrzymanie tej sprawy w zupełnej tajemnicy.

Skoro urzędnik zamknął drzwi za sobą, Astor chodził przez chwilę zamyślony po pokoju. Potem usiadł przy biurku i zaczął przeglądać przygotowane tam papiery.

Wtem do gabinetu wszedł służący.

— Agent handlowy, przybywający z Petersburga, pragnie z panem mówić—rzekł.

Astor zerwał się i w chwilę później witał już inteligentnego i pewnego siebie, choć młodego jeszcze człowieka.

— Witam pana, drogi Simonie Clarku. Cóż słychać?

— Podróż odbyłem pomyślnie i bez trudności; trudniej natomiast było uzyskać posłuchanie u przedstawicieli rządu rosyjskiego.

— Bardzo wierzę, zwłaszcza w dzisiejszych czasach,

— Tak, cała Europa dzierży broń w dło-

ni. Napoleon obala codziennie królów i królestwa. I w Petersburgu o tem tylko mówią; dyplomaci nie zajmują się prawie niczem innym.

— Ale udało się panu uzyskać potrzebny nam układ?

— Oczywiście. Rząd rosyjski zgadza się, by rosyjska kompania handlu futrami pozostawała w przyszłości w jedynym i wyłącznym związku z naszym Towarzystwem.

— Doskonale. Postaramy się o zatwierdzenie tego układu w Waszyngtonie i dzięki temu położymy kres wrogim zakusom angielskim. Nowa kolonia handlowa u ujść Kolumbii odda nam znakomite usługi, tam bowiem będziemy mogli urządzić punkt środkowy handlu między Rosyą i Ameryką.

— A jakież są losy kolonii?

— Niestety, nie wiem dotychczas nic pewnego. Nie wiem, czy kolonia została założona, nie wiem, czy Wilson Hunt zdołał się przedostać poprzez Góry Skaliste. Mimo wszystko, wysłałem tam jeszcze jeden okręt, mianowicie „Bobra“, należyście uzbrojonego i zaopatrzonego we wszystko, czegoby tylko osada mogła potrzebować. Obecnie zamierzam kupić jeszcze „Larka“, który udałby się tam na przyszlą wiosnę.

— Oczywiście pomyślałeś pan także o tem,

aby w załodze „Bobra“ przeważali rodowici amerykanie?

— Tak. Było to tem bardziej konieczne, ponieważ w pierwszej wyprawie przeważali Anglicy. Ale wówczas należało działać pośpiesznie, wyszukać jaknajprędzej ludzi energicznych i stanowczych. To skłoniło mnie do przyjęcia, jako częściowych współników w zyskach, panów Mac Dougala i kilku innych... Ale prawda, cóż mówią o wojnie?

— Francya jest zadowolona, że otwarto przed nią porty Związkowe. Natomiast w Anglii panuje powszechne niezadowolenie. I obawiają się, że, jeżelibyśmy przyjęli Luizyanę do Związku, lub obsadzili Florydę, wojna będzie nieunikniona.

Czoło Astora zachmurzyło się. Wiedział, że projekt taki omawiano na posiedzeniach Kongresu amerykańskiego i tem większa ogarnęła go obawa o los nowej kolonii.

— Ale mam jeszcze nowinę dla pana, dotyczącą właśnie Kolumbii. Angielska Kompania północno-zachodnia postanowiła wysłać do ujścia Kolumbii okręt z dwudziestoma działami na pokładzie, noszący nazwę „Isaak Todd“, i zamierza również założyć osadę w tamtych okolicach.

— Co pan mówisz? — zawołał Jan Jakub Astor.

— Otrzymałem najwiarygodniejsze wiadomości—odrzekł Simon Clark, wydobywając z kieszeni pakiet papierów. — Zechciej pan przejrzeć to w swobodnej chwili.

— Więc to prawda?

— Najzupełniejsza. Jakżeż mógłbym żartować? Może jednak obmyślisz pan jeszcze jakieś środki zapobiegawcze, które udaremnią plany naszych wrogów.

Po wyjściu ajenta Jan Jakub Astor zasiadł przy biurku i odczytał bardzo uważnie otrzymane dokumenty.

Długo siedział, pogrążony w głębokiem zamyśleniu, opierając zachmurzone troską czoło na dłoniach.

Jakże boleśnie było patrzeć, że teraz — po tylu ofiarach, po tylu trudach, poniesionych przez dzielnych ludzi — grozi umiłowanemu planowi zniszczenie. A boleśniejsza jeszcze była niepewność, czy wydane polecenia zostały wykonane szczegółowo i należycie. Och gdyby mógł przynajmniej wiedzieć, czy Wilson Hunt, jedyny z uczestników wyprawy, któremu ufał bezwzględnie, przedarł się poprzez kontynent i objął rządy młodziutkiej kolonii przy ujściu Kolumbii w swe silne i pewne dłonie.

Jan Jakub Astor powstał wreszcie, westchnąwszy głęboko i zaczął znowu chodzić po

pokoju. Po dłuższej dopiero chwili zatrzymał się znowu przed biurkiem, jakgdyby powziąwszy stanowcze postanowienie, potem usiadł i rozłożywszy papier, napisał list do komendanta „Bobra“, kapitana Sowle:

„Kochany kapitanie.

„Mam nadzieję, że list ten otrzymasz pan w Kantonie. Chcę uzupełnić w nim rozkazy, jakie poprzednio wydałem co do podróży „Bobra“. Zechcesz pan zatem, zaraz po odebraniu tych wierszy, skrócić swój pobyt w Kantonie i zabrawszy tylko to, co mogłoby być przydatne dla naszej kolonii, wyruszyć niezwłocznie do ujścia Kolumbii. Tam oddasz pan dołączony list panu Wilsonowi Huntowi, który, mam w Bogu nadzieję, objął już kierownictwo osady. Pan Hunt oznaczy również, dokąd uda się okręt w najbliższej przyszłości“.

Potem Jakub Astor napisał także do Wilsona Hunta obszerny, serdeczny list. Donosił mu szczegółowo, jak zmieniło się położenie w ostatnim czasie, wspominał o obawach wojny i o skutkach, jakie zbrojne starcie między Anglią i Stanami Zjednoczonymi wywarłoby na losy osady. Prosił i błagał go, aby myślał o wszystkim, zalecał jak największą przezorność i ostrożność.

„Gdybym miał na celu—zakończył—tylko osobiste zyski, zaniechałbym dalszych, tak znacznych ofiar. Ale myśl, że ten projekt, tak korzystny dla ojczyzny, obróci się w niwecz, boli mnie bardzo. Więc działaj pan, uczyn wszystko, co w twojej mocy“.

XIII.

Niezwykłe zaślubiny.

I znowu osadnicy doczekali się wiosny. Rządy młodej kolonii dzierżył teraz energicznie i sprężysto Wilson Hunt. Skoro tylko powiały wiosenne wiatry, skoro stopiły się śniegi, a ziemia przywdziała szatę świeżej zieleni, zapanował w osadzie ożywiony ruch.

— Czas zabierać się do pracy, należy pomyśleć o wykonaniu naszych dawniejszych planów, zastanowić się nad nowymi — mówił Wilson Hunt do Mac Dougala. — Więc przede wszystkim musimy wyposażyć lepiej stację w górze rzeki, pozostającą pod kierownictwem Dawida Stuarta. Potem trzeba wysłać mały oddział nad brzegi Caldronu, gdzie pozostawiłem w kryjówkach bardzo znaczną część naszego dobytku. Wreszcie należy koniecznie

wyprawić posła do Nowego Jorku, aby zawiadomił pana Astora o naszych losach.

Mac Dougal zgodził się na wszystko, co Hunt doradzał.

W niewiele dni później młody Robert Stuart wyruszył już w drogę, wioząc dla swego stryja obfite zapasy amunicji, oraz towary, mające służyć do handlu zamiennego z czerwonoskórnymi. Dwaj doświadczeni strzelcy z oddziałem z ośmiu ludzi udali się po przedmioty, ukryte przez Hunta podczas jego uciążliwej wędrówki wśród Gór Skalistych.

Trudnej wyprawy do Saint-Louis, a stamtąd do Nowego Jorku podjął się Jan Reed. Listy do Astora zapakowano mu w blaszaną puszkę, którą przewiesił sobie przez plecy, zaręczając, że raczej odda głowę własną, niż powierzone mu papiery.

Kilka tygodni minęło na wytężonej pracy. Czerwonoskórce, mieszkający w okolicy, znosili z nastaniem wiosny coraz więcej upolowanych skór; wódz ich, Comcomly, coraz częściej zaglądał do osady, dając niejednokrotnie kolonistom pożyteczne dla nich rady. Stał się on istotnie szczerym przyjacielem białych, starał się powiększyć dla nich sympatyę zarówno wśród własnego plemienia, jak i wśród okolicznych szczepów.

I sam Mac Dougal nie mało przyczyniał się do tego; na pokładzie pięknego żaglowca „Dolly, który poprzedniej jesieni spuszczone na wodę, przedsiębrał dość dalekie wycieczki w górę rzeki, nieraz zasiadał przy ognisku w wigwamie Comcomly'ego, nieraz odwiedzał inne czerwonoskóre plemiona, jednając sobie ich życzliwość drobnymi podarunkami. Dzięki temu żyli osadnicy z bliskimi swymi sąsiadami w najbliższej przyjaźni; natomiast szczepy nieco dalej mieszkające spoglądały z zawiścią na zyski Czinuków i niejednokrotnie odgrażały się młodej kolonii.

Wtedy to wpadł Mac Dougal na całkiem niezwykły pomysł. Pewnego dnia zaprosił Hunta i najstarszych strzelców na wielką naradę. Wszyscy przybyli, zaciekawieni, czego się dowiedzą.

— Wiadomo wam, panowie—odezwał się Mac Dougal nader uroczystym tonem — że mieszkający naokół czerwonoskórce nie są dla nas nazbyt życzliwie usposobieni. Dotychczas nie objawiają złych zamiarów, ponieważ jeszcze ciągle obawiają się nieco „lekarstwa“, jakim im zagroziłem; prócz tego nasz przyjaciel Comcomly przemawia zawsze gorąco za nami. Ale mimo to musimy jeszcze żywić pewne obawy co do przyszłości. I teraz część mieszkańców osady rozjechała się w różne

strony, załoga jest znacznie zmniejszona; „Tonquin“ zatonał, a dotąd nadaremnie oczekujemy na nowy statek z Nowego-Jorku. Otóż mojem zdaniem należałoby przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

— Ostrożność nie zawadzi nigdy—odparł Hunt—lepiej być nazbyt ostrożnym, aniżeli za mało. Więc cóż pan doradzasz?

Mac Dougal objawił zadowolenie z tej pochwały.

— Otóż postanowiłem jeszcze silniejszym węzłem połączyć naszą osadę z naszym czerwonoskórym przyjacielem.

Obecni słuchali z rosnącym zaciekawieniem.

— I w jakiż to sposób?—spytał jeden ze strzelców.

— Przypominacie sobie może, panowie—mówił dalej Mac Dougal — że, kiedy po raz pierwszy odwiedziłem czerwonego wodza i kiedy wracałem z jego wigwamu do naszej osady, groziła mi śmierć w wzburzonych nurtach rzeki. Uratowała mnie wówczas córka Comcomly'ego, nazwiskiem Wakuba. Otóż postanowiłem obecnie poślubić tę młodą dziewczynę. Dzięki temu Comcomly będzie z tem większą troskliwością opiekował się naszym losem, ponieważ będzie to również los jego córki.

Słuchający spojrzeli najpierw na Mac Dougala rozszerzonymi podziwem oczyma, potem zaś wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Jakto? Pan chciałbyś naprawdę ożenić się z tą czerwonoskórą księżniczką?

— Tak jest. I nie pojmuję dlaczego to moje postanowienie wydaje się wam śmieszne — odpowiedział Mac Dougal obrażonym tonem.

— Przepraszam pana — rzekł Hunt, wyciągając rękę do niego.—W pierwszej chwili wydało mi się to istotnie zabawne, ale teraz przyznaję szczerze, że możemy stąd wyciągnąć znaczne korzyści. W ten sposób połączymy się naprawdę bardzo ścisłym węzłem z naszymi czerwonoskórymi przyjaciółmi i zapewnimy sobie ich pomoc raz na zawsze.

— Bardzo się cieszę, że podzielasz pan moje przekonania. Teraz chodziłoby tylko o to, aby dwóch z panów udało się do wigwamu starego wodza i, zgodnie z obyczajem indyjskim, złożyło podarunki i przedstawiło mu mój zamiar. Mam nadzieję, że nie odmówicie mi panowie tej usługi, aczkolwiek zrazu słowa moje pobudziły was do śmiechu.

Wybrano dwóch strzelców, którzy mieli udać się w swaty do indyjskiej wioski, Mac Dougal dał im kilka sztuk materyi, pudło, pełne szklanych pereł, trochę noży i naczyń

metalowych. Przystrojono też pięknie niewielkie czółno, poczem swatowie puścili się w drogę.

Mac Dougal przypuszczał, że powrócą mniej więcej za trzy dni; tymczasem nieobecność ich trwała znacznie dłużej, dopiero po tygodniu pojawili się z powrotem.

— I cóż?—pytał Mac Dougal zniecierpliwiony, albowiem był człowiekiem równie upartym, jak nieszczęsny kapitan „Tonquina“ i, skoro raz powziął jakiś zamiar, chciał za każdą cenę doprowadzić go do skutku.

Okazało się, że Comcomly był nie tylko dobrym przyjacielem, ale również sprytnym i przebiegłym kramarzem.

— Stary wódz przyjął nas z ogromną radością, skoro dowiedział się, w jakim przybywamy celu—opowiadał jeden z wysłanników.— Usłyszeliśmy z ust jego wszystkie pochlebstwa, jakimi rozporządza mowa indyjska; rozwodził się szeroko nad tem, jak wysoko ceni sobie zaszczyt wydania córki za tak sławnego białego wodza.

— Czemu jednak siedzieliście tam tak długo?

— O, nie bez przyczyny — odpowiedział strzelec.—Stary lis indyjski chce wykorzystać nadarżającą się mu sposobność. Przedłużał sprytnie układy, wychwalał niezwykle wdzięki

i cnoty księżniczki, aby wreszcie zażądać w zamian za córkę niesłychanej ilości podarków.

I obaj wyliczyli rzekomo skromne żądania, jakie postawił Comcomly.

Mac Dougal słuchał, a równocześnie włosy stawały mu dębem na głowie. Ale rozumiał, że jest wodzem wielkiego przedsiębiorstwa handlowego, rozumiał, że skoro powiedział już raz *a*, musi również powiedzieć: *b*. Zresztą zależało mu na tem, aby przedstawić kolonię i siebie w jaknajlepszym świetle, aby zjednać sobie przyjaźń czerwonoskórego wodza na wieczne czasy. Krzywił się wprawdzie, wzruszał ramionami, ale ostatecznie dał wszystkie żądane przedmioty i wysłał strzelców z powrotem do wigwamu Comcomly'ego, aby dokończyli układów,

W połowie lipca zawinęła do portu osady liczna flotyła pięknie przystrojonych czółen indyjskich. Jedna z łodzi wiozła indyjskiego wodza w uroczystych szatach, to znaczy owiniętego niebieskim dywanikiem i przepasanego czerwonym, jaskrawym fartuchem. Na głowie jego kołysał się las barwnych piór; całe ciało było tak wspaniale pomalowane, że nie można było dostrzedz ani kawałeczka czystej skóry. Wodzowi towarzyszył orszak dostojników plemienia, wystrojonych i pomalo-

wanych równie uroczyście, oraz kilkudziesięciu napół nagich czerwonoskórców.

Dla księżniczki przygotowano osiodłanego konia, na którym udała się do osady w towarzystwie swatów.

Mac Dougal oczekiwał na narzeczoną u bram osady; widok przyszłej towarzyszki życia niezbyt go zachwycił, ponieważ i ona była, wedle obyczaju Czinuków, wymalowana wszystkimi możliwymi barwami, a w dodatku namaszczonea obficie rybim tranem, który nie bardzo przypominał europejskie, a nawet owoczesne amerykańskie wonności. Ale Mac Dougal potrafił wytłómaczyć staremu wodzowi i księżniczce, że obyczaje białych są inne, aniżeli czerwonoskórych i dzięki temu oblubienica zmyła wszystkie ozdoby jeszcze przed uroczystością, stając się najczystsza z księżniczek, jakimi plemię Czinuków mogło się kiedykolwiek pochlubić.

Uroczystość zaślubin odbyła się z niezwykłą uroczystością i trwała przez dni kilka. Przebiegły Comcomly nawet podczas niej nie zapomniał o własnych zyskach i zdołał wyludzić jeszcze sporo podarunków.

Niebawem okazało się, że wyrachowania Mac Dougala były zupełnie trafne. Małżeństwo pogłębiło istotnie i utrwaliło związki

przyjaźni, łączących białych z czerwonoskórcami.

Comcomly bywał odtąd niemal codziennym gościem w osadzie; z czasem zaproszono go nawet do narad, jakie odbywała starszyzna osady, a rady jego nieraz okazywały się praktyczne.

Pewnego dnia przybył Comcomly z niezwykłym pośpiechem do kolonii.

— Czy moi biali bracia słyszeli grzmoty z wielkiej broni ognistej—zawołał, wskazując ku ujściu rzeki. — Przybyły widocznie jakie blade twarze.

— Co? Grzmoty z wielkiej broni ognistej? Nie, nic nie słyszeliśmy.

— Więc niech biali wodzowie wyteżą słuch.

Wiadomość rozeszła się szybko po osadzie. Hunt, Mac Dougal, kilku strzelców pośpieszyło na brzeg rzeki i poczęło nasłuchiwać we wskazanym kierunku.

Istotnie po chwili wiatr przyniósł głucho echo armatniego wystrzału.

Serca Astoryanów przejął równocześnie lęk i radość.

Któż to przybywał? Wróg czy przyjaciel?

Mac Dougal nie namyślał się długo. Podniesiono kotwicę statku „Dolly“, popro-

szono indyjskiego wodza, aby przeprowadził mały żaglowiec przez niebezpieczne wiry i ruszono naprzód. Kanadyjczycy nie szczędzili siły ramion, statek mknął pewnym, spokojnym ruchem za czótnem indyjskiem.

Po upływie pół godziny wyminęli szczęśliwie pieniaące się prądy u ujścia rzeki i wypłynęli na otwarte morze.

W pewnej odległości od wybrzeża kołysał się lekko na kotwicy duży okręt żaglowy. Z otworów pokładu wysterczały groźnie błyszczące wyloty dział, na pokładzie uwijało się sporo zbrojnych marynarzy.

Comcomly zawahał się nieco na widok dział.

Ale Mac Dougal skinął na niego zachęcająco ręką, spostrzegł już bowiem amerykańskie sztandary na masztach. Zbliżył się szybko do żaglowca, a kiedy wreszcie zapytał, do kogo statek należy i wypowiedział przez tubę swoje nazwisko, z pokładu odpowiedziano okrzykiem radości.

W niedługą chwilę później i biali i czerwoni znajdowali się już na statku, gdzie kapitan „Bobra“, Sowle, powitał ich bardzo serdecznie. Okazało się, że „Bóbr“ krążył już od trzech dni koło wybrzeży, dając często hasła wystrzałami armatniami, na które jednak nie było odpowiedzi. Wiatr niósł echa wystrza-

łów w przeciwną stronę, prócz tego osadnicy nie zwrócili na daleki huk wcale uwagi. Kapitan wysłał wreszcie łódź na poszukiwania, ale żeglarze zawrócili, natrafisz u ujścia rzeki na spienione wiry, niezmiernie trudne do przebycia.

— Musieliśmy postępować z jaknajwiększą ostrożnością—mówił kapitan Sowle. — Na wyspach Sandwich dowiedzieliśmy się o nieszczęsnym losie „Tonquina“; zachodziła obawa, że indyjanie mogli również napaść na kolonię i zniszczyć ją. Czekaliśmy więc niejako z bronią u nogi, przygotowani na każdy wypadek.

— A gdybyście się nie byli doczekali?

— Postanowiliśmy bądź co bądź wpłynąć łodziami w górę rzeki, a prócz tego wysłać oddział lądowy na poszukiwania — odpowiedział towarzysz kapitana, młody, energiczny człowiek, nazwiskiem Jan Clarke.—Przybyłem tutaj w porozumieniu z panem Janem Jakubem Astorem i miałem zamiar, w razie gdyby osada przestała już istnieć, zniszczona przez indyan, założyć nową.

— Miły nam taki dzielny i przedsiębiorczy towarzysz pracy—zawołał Mac Dougal.—Przyjmujemy pana wszyscy z otwartemi rękoma.

Na rozkaz kapitana załoga statku dała ponownie kilka salw powitalnych, niebawem wiatr przyniósł odpowiedź z osady, dokąd Mac Dougal wysłał wiadomość o pomyślnem zdarzeniu.

Następnego poranku „Bóbr“, przeprowadzony ostrożnie poprzez wiry przy pomocy wiernego Comcomly'ego, wpłynął w głąb rzeki i zarzucił kotwicę w porcie przed osadą.

Z obu stron radość była bardzo wielka. Załoga statku nie miała już niemal nadziei, że zastanie osadników przy życiu; osadnicy oczekiwali od dawna z utęsknieniem wiadomości od Astora, nowych zapasów amunicji i towarów zamiennych. Teraz podniosła się ich otucha i chęć do pracy; mieli naoczny dowód, że tam daleko, w Nowym-Jorku, myślą i troszczą się o ich losy.

Radość zwiększyła się jeszcze wieczorem. Nieoczekiwanie bowiem przybyli Ramsay Crooks i Jan Day, o których sądzono, że zginęli dawno w puszczech podczas zimy. Tymczasem obaj przezimowali w leżach zimowych indyjskich, a z nastaniem cieplejszej pory roku wyruszyli na myśliwskie wyprawy, zdążając powoli, ale stale, ku ujściom Kolumbii i wybrzeżom morza.

Zwłaszcza Wilson Hunt był niezmiernie uradowany plonem całego dnia. Przybył dawno oczekiwany statek; powiększyła się załoga osady kilkoma dzielnymi ludźmi. Dzięki temu przyszłość Astoryi przedstawiała się w coraz bardziej różowych barwach; nadzieje Astora, wyrażone w nadesłanym przez niego liście, stawały się coraz bliższe najpomyślniejszego urzeczywistnienia.

Przywiezione przez „Bobra“ zapasy przeniesiono w następnych dniach do magazynów osady; kapitan i marynarze, odpocząwszy nieco, poczęli myśleć o dalszej podróży. Z tego też powodu zwołał pewnego dnia kapitan Sowle starszyznę osady na naradę.

Jak wiadomo, Jan Jakub Astor polecił mu udać się do Nowoarchangielska i nawiązać tam układy z rosyjskimi handlarzami futer, które odtąd miały być wysyłane bezpośrednio do Kolumbijskich wybrzeży, a stamtąd dalej do Nowego-Jorku. Toteż kapitan doradzał gorąco, aby w podróży towarzyszył mu jeden z kierowników osady, któryby mógł osobiście zbadać stosunki i poczynić potrzebne umowy.

Uczestnicy narady podzielili to przekonanie, wskazując równocześnie, że najbardziej powołanym do tego zadania jest sam Hunt,

jako naczelny kierownik kolonii. Mac Dougal gorąco popierał ten projekt, albowiem wobec odjazdu Hunta stawał się główną osobistością w osadzie.

W parę dni później „Bóbr“ wyruszył w drogę, z Huntem na pokładzie.

XIV.

Zła gwiazda.

Możnaby niemal przypuścić, że z chwilą wyjazdu Wilsona Hunta z Astoryi zaświeciła nad osadą jakaś zła gwiazda. Dotąd los sprzyjał ciągle kolonistom, odtąd niepowodzenia prześladowały ich coraz częściej.

Pierwszem niepowodzeniem był niespodziewany powrót Jana Reeda, wysłanego z listami do Astora. W drodze napadło na niego rozbójnicze plemię Wiszramów i zrabowało mu piękną, błyszczącą puszkę blaszaną, zawierającą listy.

— Niegodziwcy ci — opowiadał Reed — uważali widocznie puszkę, którą miałem przewieszoną przez plecy, za jakieś czarodziejskie narzędzie. Byłem już przekonany, że ominąłem ich zasadzki, gdy nagle niespodzianie cał-

kiem napadli na mnie. Na szczęście podróżujący w pobliżu młody Robert Stuart usłyszał moje strzały i pośpieszył mi na pomoc. Dzięki temu uratowałem mój skalp; niestety, puszkę już przedtem mi wydarto. Ale dajcie mi tylko kilku zbrojnych ludzi do pomocy, a odbiorę ją z pewnością... no i pomszczę się także na tych rozbójnikach.

Na razie jednak tyle było pilnych prac w osadzie, że o zbrojnej wyprawie przeciw plemieniu Wiszramów nie można było myśleć. Zresztą Mac Dougal był przeciwny temu, nie chcąc jeszcze rozpoczynać walk z indyanami, dopóki los osady nie zostanie oparty na całym pewnych i trwałych podstawach.

Listy jednak należało wysłać koniecznie. Zadania tego podjął się ochotnie Ramsay Crooks, który tymczasem wypoczął już po dawniejszych trudach, a któremu spokojna praca w osadzie niezbyt przypadła do smaku. Był przecież urodzonym poszukiwaczem przygód, dopiero wtedy był naprawdę wesół i szczęśliwy, gdy czuł grożące sobie wkoło niebezpieczeństwa, gdy mógł się zмагаć podstępem, zręcznością i siłą czy to z dzikim zwierzem, czy z podstępny czerwonoskórcem.

Napisano więc ponownie listy do Astora, a Crooks, naładowawszy torbę amunicją, ru-

szył śmiało i rezolutnie w głąb odwiecznych borów.

Nieszczęście jednak zwykle chodzi w parze. W niewiele dni później powrócili myśliwcy, wysłani nad rzekę Caldron do kryjówek, gdzie Hunt w chwili najgorszej niedoli ukrył swoje zapasy. Odnaleźli bez trudu kryjówki, tem łatwiej, że były zupełnie rozkopane; jacyś czerwonoskórzy rabusie złupili ich zawartość.

Gorszym jeszcze ciosem było to, że od czasu odjazdu „Bobra“ poczęły się psuć stosunki z dalej mieszkającymi plemionami indyjskimi. Już dawniej objawiały one nienawistne uczucia dla osady; Comcomly łągodził je nieco swem pośrednictwem.

Teraz pojawili się w pobliżu wojownicy ze szczepu Niunetów, który w swoim czasie napadł i wymordował załogę „Torquina“. Przybyli oni nad brzegi rzeki, aby łowić łososie, ale odgrażali się również, że przy sposobności napadną na osadę. Przyzwyczajeni do walk z białymi, nie obawiali się wcale „wielkiego lekarstwa“, jakim przez czas pewien straszył Mac Dougal swych najbliższych czerwonoskórych sąsiadów. Co więcej, przekonywali także nastraszone plemiona, że są to tylko czeze pogróżki białych twarzy.

Wierny Comcomly ostrzegł męża córki

i białych przyjaciół o grożącym niebezpieczeństwie.

To też przedsięwzięto wszystkie potrzebne środki ostrożności. Wprawdzie poza palisadami czuli się osadnicy dosyć bezpieczni, tem nie mniej jednak woleli się przygotować na każdy wypadek. Wzmocniono więc wały, otaczające kolonię, zbudowano szereg krytych krużganków między wałami i palisadą, zaprowadzono stałe straże w dzień i w nocy.

Na szczęście, czyto dzięki nieustannym staraniom Comcomly'ego, czy dzięki wiadomościom o wzmocnieniu twierdzy, czerwonoskórscy zaniechali planów napadu i ukończywszy połów łososi, powrócili do swych wigwamów.

Tymczasem zbliżała się zima, a Wilson Hunt nie powracał.

Przygotowano zapasy żywności na miesiące zimowe i z coraz większą niecierpliwością oczekiwano „Bobra“. Statek ten był przecież jedynym łącznikiem pomiędzy nimi i ojczyzną, którą już tak dawno opuścili; był otuchą i pokrzepieniem. Nadaremnie jednak oczekiwali; tygodnie i miesiące mijały bez żadnej wieści.

Astoryanie poczęli wreszcie przypuszczać, że spotkał go los „Tonquina“; im silniejsze były te obawy, tem bardziej upadali na duchu wszyscy mieszkańcy osady.

Nawet Mac Dougal okazywał z dnia na dzień coraz większe przygnębienie, tracił humor, złorzeczył chwili, kiedy, skuszony chęcią zysku i przygód, wyruszył w daleką puszczy.

Jeden tylko młody Robert Stuart był dzielny i nieustraszony niczem, jak zawsze.

I pewnego dnia, gdy Mac Dougal, zamiast podtrzymywać odwagę osadników, sam zaczął głośno rozpowiadać, że najchętniej porzuciłby wszystko, Robert Stuart zwrócił się wprost do niego:

— Nie rozumiem zupełnie, co się z panem dzieje—rzekł. — Przecież całe swe życie przepędziłeś pan wśród niebezpieczeństw, wśród trudów i niewygód. Teraz zaś każda najdrobniejsza przeciwność losu rozdrażnia pana, spoglądasz pan czarniej w przyszłość, aniżeliby należało.

— Czy tak?—odparł Mac Dougal.—A zresztą może tak jest naprawdę; nie będę przeczył. Czy jednak można się temu dziwić, skoro nic się nam nie wie dzie, skoro nie ma poprostu już żadnej nadziei? Gdzież jest ten okręt, który miał być naszą podporą? Jeżeli zaś zginął w falach oceanu, jak niestety musimy się obawiać, co nas czeka? Czy sądzisz pan, że Jan Jakub Astor wyprawi jeszcze jeden statek? Byłby przecież szaleńcem. Włożył już olbrzymie sumy w to przedsięwzięcie,

a nie ma z niego żadnych zgoła zysków. I co gorzej, nie prędko może się spodziewać jakichś zysków. Więc cóż nas czeka? Czyż możemy spokojnie spoglądać w przyszłość? Czyż pan nie widzisz, że wszyscy nasi osadnicy są niezadowoleni i niezachęcani?

— Tak—odparł śmiało Stuart—tem więcej, że przecież pan sam ich w tem utwierdzasz i podtrzymujesz.

— Za młody pan jesteś, aby mi dawać nauki, jak powinienem postępować. A zresztą powiem otwarcie: nie wierzę w powodzenie tej całej sprawy i im rychlej się stąd wydstanę, tem będę szczęśliwszy.

— Bardzo to źle, aby sam wódz przemawiał w ten sposób,—zauważył nie bez złośliwości Robert Stuart.

— Nawet najodważniejszy człowiek musiałby stracić wszelką otuchę w walce z tyłoma przeciwnościami — odburknął niechętnie Mac Dougal.

Przerwali rozmowę. Nie powstała jednak bez skutku, bo odtąd Mac Dougal nie niezachęcał przynajmniej mieszkańców osady objawami swego własnego niezadowolenia i niewiary w przyszłość.

A równocześnie Robert Stuart dokładał starań, aby podnieść ducha osadników. Sam przodował w każdej pracy, w pogodniejsze

dni wyruszał na łowy, zaopatrując mieszkańców w świeże mięso upolowanej zwierzyny, głosił, że, nawet gdyby „Bóbr“ stał się ofiarą jakiegoś wypadku, Jan Jakub Astor z pewnością nie zapomni o swym ulubionym projekcie i wynajdzie nowe sposoby pomocy.

Dzięki tym nieustannym usiłowaniom, w Astoryi zapanowało lepsze nieco usposobienie.

Nie na długo jednak, bo niespodziewanie padł nowy grom, groźniejszy niż wszystkie dawniejsze.

Pewnego dnia zawitał znowu do osady nieoczekiwany gość. Był to angiłk, nazwiskiem Jan Jerzy Mac Tavish, jeden z głównych wspólników angielskiej Kompanii Północno-zachodniej.

Gość przywiózł straszne wieści. Przewszystkiem na podstawie niezbitych dowodów wykazał, że rozpoczęła się wojna między Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Zawiadomił dalej, że tworzy niedaleko od Astoryi nową kolonię handlową angielską i że, rozporządzając bardzo znacznymi środkami żywności, broni i towarów zamiennych, ma nadzieję porządnie zaleść Astoryanom za skórę. Najgorszą jednak wieścią było to, że kompania angielska wysyła doskonale uzbrojony okręt „Isaak Todd“ do ujścia Kolumbii i że nie cofnie się

przed niczem, by cały handel futrami w tych okolicach ześrodkować w swoim ręku.

Wiadomości te podziały na osadników, jak wybuch bomby. A tymczasem Mac Tavish pożegnał ich z drwiącym uśmiechem, zapowiadając ponowne swe przybycie, skoro wymieniony przez niego statek przybije do brzegów.

Mac Dougal gniewał się i złościł tak gwałtownie, że Robert Stuart począł się poważnie obawiać, czy nie popadł w jakąś chorobą umysłową.

Chwilami, gdy się uspokoił, Mac Dougal wyrażał najgorsze obawy:

— Nie ma co mówić—oświadczał z rozpaczą — „Bóbr“ napewno utonął; Hunta nie ujrzymy już nigdy. Więc co teraz czynić? Czyż potrafimy się oprzeć angielskiemu wojennemu okrętowi? A najgorsze to, że wobec wybuchu wojny nie możemy oczekiwać pomocy ani od rządu Stanów Zjednoczonych, ani od Astora, chociażby najbardziej pragnął nam dopomóc. Anglicy, posiadając licniejszą i silniejszą flotę, zamknęli z pewnością wszystkie porty amerykańskie, ani myśz nawet nie wydostanie się na pełne morze. A statek, któremu udałoby się wypłynąć, stanie się niechybnie łupem anglików. Więc co czynić?

Opuśćmy na chwilę osadników, rozmyślających tak smutnie nad swoim losem i powróćmy do gabinetu pana Jana Jakuba Astora w Nowym Jorku.

Od założenia Astoryi po raz trzeci już rozwijała wiosna swą krasę i czary, a twórca osady ciągle jeszcze nie miał wiadomości o losach swego dzieła. Ale mimo to szedł ciągle raz obraną drogą, zgodnie ze swemi planami.

Aczkolwiek i jego przeraziła wieść o wybuchu wojny, tem niemniej nabył jeszcze jeden statek „Lark“, uzbroił go, zaopatrzył obficie żywnością i zapasami towarów i postanowił wysłać do ujść Kolumbii. Skoro zaś dowiedział się, że Anglicy zamierzają poprzeć zbrojnie Kompanię Północno-zachodnią w jej zaborszych planach nad ujściem Kolumbii, zakupił jeszcze jeden okręt i dotąd domagał się od rządu poparcia swych zamiarów, póki nie przyrzeczono mu, że Stany Zjednoczone wysła również statek wojenny na wody Kolumbii.

Przyrzeczenie to uspokoiło go nieco, a otrzymany w międzyczasie pierwszy list z Astoryi, donoszący o względnym powodzeniu kolonii, sprawił mu rzetelną radość. Był przekonany, że osada, kierowana dzielną i ener-

giczną dłońią Hunta, a broniona przez dwa jego własne statki i rządowy okręt wojenny, zdoła się oprzeć wszystkim niebezpieczeństwom.

Ale jakże zawodne bywają ludzkie nadzieje.

Kiedy już wydawało się, że wszystko znajduje się na jaknajlepszej drodze, przed Nowym-Jorkiem pojawiła się potężna flota angielska i zamknęła wyjście okrętom amerykańskim, tak wojennym jak i handlowym.

Tymczasem „Bóbr“ stał bezczynnie na kotwicy w porcie Kantonu w Chinach, ponieważ przeczorny kapitan Sowle obawiał się, by statek nie wpadł w angielskie ręce.

Hunt siedział równie bezczynnie w Nowoarchangielsku, daremnie wyczekując na jakąś sposobność powrotu do osady.

A w Astoryi, pozbawionej jego energicznego kierownictwa, rosło ustawicznie zważenie.

— Co czynić—powtarzał Mac Dougal kilka razy dziennie.

I postanowił wreszcie, że najlepiej będzie opuścić osadę. Robert Stuart stanowczo oparł się temu i zawezwał przedewszystkiem innych współników wyprawy Astora ze stacyi handlowej w górze rzeki, aby wraz z ni-

mi odbyć walną naradę nad sposobem działania.

Dawid Stuart poparł bardzo energicznie bratanka.

— Jakto? Teraz, kiedy włożyliśmy w to przedsięwzięcie tyle pieniędzy, pracy i trudu, mamy porzucać je z powodu jakiejś angielskiej pogrożki? Gdzież jest grożący nam nieprzyjaciel?

— Zapewne — odburknął Mac Dougal— dotąd panuje jeszcze spokój, ale przybycia statków angielskich trzeba oczekiwać lada chwila.

— Nie jest to bynajmniej tak pewne, jak się panu wydaje. I gdyby nawet przybyły te statki, to zawsze jeszcze będzie czas schronić się do stacyi w górze rzeki, dokąd okręty nie zdołają dotrzeć i gdzie nic nam grozić nie może. Szczęście ciągle jeszcze może się odwrócić na naszą korzyść.

— Czekamy na tę odmianę już od szeregu miesięcy — odpowiedział ze złością Mac Dougal. — Od katastrofy „Tonquina“ spotyka nas jedna klęska po drugiej.

— Powinniśmy zatem być ludźmi czynu i tem energiczniej walczyć, zamiast zrażać się przeciwnościami. A pan przerażasz się lada pogłoską!...

— Panie Dawidzie Stuarcie! — krzyknął Mac Dougal, nie panując już niemal nad sobą—pan mnie obrażasz!

— Pozwól mi pan przedewszystkiem skończyć. Otóż jestem przekonany, że pan Astor nie zapomni o nas, że poruszy wszystkie sprężyny, byleby tylko przyjść nam z pomocą. Więc i nam nie wolno lekkomyślnie narażać na zagładę jego planów, nie wolno nam zmarnować tych olbrzymich sum, jakie już włożył w to przedsięwzięcie, nie wolno nam nie uszanować pracy i trudów, jakich dla urzeczywistnienia tego projektu nie oszczędzili wszyscy nasi towarzysze. Powtarzam: lada dzień szczęście może się odwrócić, może już jutro, może pojutrze przybędzie statek z Nowego Jorku, wiozący nam pomoc i nowe zapasy. Więc obowiązkiem naszym jest czekać.

— Ale nie możemy przecież czekać wiecznie—przerwał mu Mac Dougal.—Któż zaręczysz, że doczekamy się tego, co pan zapowiadasz?

— Do tego właśnie zdążam—mówił dalej Dawid Stuart.—Nie możemy czekać wiecznie, to prawda. Ale nie wolno nam stąd uciec z dnia na dzień, jakbyś to pan chciał uczynić. Dlatego daję następującą radę: Jeżeli przed upływem roku „Bóbr“ nie powróci, je-

żeli do tego czasu nie pojawi się także żaden inny statek, nadesłany przez Astora, jeżeli do tego czasu Hunt nie powróci również, w takim razie za rok opuścimy Astoryę. Warunki te spiszemy w umowie i odpis tej umowy przślemy zaraz Astorowi, wyjaśniając mu przyczyny, zmuszające nas do opuszczenia kolonii.

— A aż do tej chwili będziemy się bronić, będziemy walczyć z wszystkimi wrogami, którzyby chcieli zagrozić stworzonemu przez nas dziełu — wykrzyknął z zapalem Robert Stuart.

Mac Dougal słuchał propozycji z wielkiem niezadowoleniem. Ale musiał ustąpić w obec większości. Obawiał się, że inaczej któryś z towarzyszy mógłby mu w oczy zarzucić tchórzostwo.

— Umowę tę — kończył Dawid Stuart — zachowamy w zupełnej tajemnicy. Gdyby dowiedzieli się o naszym zamiarze czerwono-skórzy sąsiedzi, mogłoby ich to skłonić do napadu na osadę. Rozszerzenie zaś wiadomości wśród osadników osłabiłoby do reszty ich energię i tak już niewielką.

Obecni zgodzili się na ten środek ostrożności. Potem spisano odpowiednią umowę i sporządzono z niej odpis dla Astora.

Jan Day ofiarował się przedrzeć przez puszcze i góry, aby zanieść Astorowi ważny dokument.

Potem Dawid Stuart powrócił do stacyi w górze rzeki, a Mac Dougal objął z powrotem rządy osady.

XV.

„W imieniu króla“.

W początkach września przybył pan Mac Tavish, zgodnie z zapowiedzią, powtórnie do Astoryi. Tym razem towarzyszyło mu dziesięć czółen, płynących pod angielską flagą, a wiozących duży zastęp zbrojnych.

I tym razem przybywał z niezbyt miłą wieścią, bo z popartą dowodami nowiną, że zapowiadany przez niego „Isaak Todd“ i wojenna fregata angielska „Febus“, zdążają pośpiesznie ku ujściu Kolumbii. On sam, jak twierdził, wyruszył naprzeciwko, aby powitać gości.

Czy to dlatego, że Mac Dougal oswoił się z hiobowemi wieściami, czy dla tego, że z dawniejszych lat żywił pewne sympatye dla Kompanii Północno-zachodniej, przyjął Mac

Tavisha bardzo uprzejmie, a nawet wdał się z nim w długie rozmowy, co bynajmniej nie podobało się Robertowi Stuartowi, który nie wróżył z tego nic dobrego.

Następnego dnia Mac Dougal zaprosił do siebie młodego Stuarta i starszą osadę. Skoro zebrali się wszyscy, odczytał im otrzymane listy z wiadomością o wyruszeniu wojennych okrętów angielskich, mających polecenie zniszczenia wszystkich osad amerykańskich wzdłuż wybrzeży północno-zachodnich.

Obecni Amerykanie oświadczyli, że należy jaknajszybciej przygotować się do obrony i stawić wrogom najzaciętszy opór.

— Nie mam nic przeciwko temu—odpowiedział Mac Dougal—pragnąłbym się jednak dowiedzieć, w jaki sposób?

— Nic łatwiejszego—zawołał z zapalem Robert Stuart, który, aczkolwiek Irlandczyk z urodzenia, kochał gorąco nową, przybraną ojczyznę.—Jest niemal wykluczone, aby duży statek wojenny zdołał wpłynąć rzeką aż do naszego portu. Aby więc zniszczyć naszą osadę, jak grożą, musieliby Anglicy wysadzić na ląd swoje oddziały wojska. A z tymi damy sobie radę.

— Zapominasz pan jednak, że posiadają dalekostrzałne działa—wtrącił Mac Dougal.

— I my także mamy działa, z pomocą któ-

rych zmusimy statki nieprzyjacielskie do zatrzymania się w przyzwolonej odległości. A każdą łódź, wiozącą na ląd żołnierzy, możemy zatopić naszymi pociskami.

Robert Stuart przemawiał, jak przystało dzielnemu i odważnemu obywatelowi kraju. To też Amerykanie przytakiwali gorąco każdemu jego słowu.

Natomiast na Mac Dougala płomienna ta przemowa nie wywarła żadnego zgoła wrażenia. Przeciwnie usiłował dowieść, że jakakolwiek obrona jest niemożliwa i że byłaby przede wszystkim szkodliwa dla interesów Jana Jakuba Astora. W ten sposób bowiem wszystkie zgromadzone futra i znajdujące się w osadzie zapasy stałyby się łupem zwycięscy, podczas gdy w razie poddania się możnaby ocalić część tego dobytku.

Dopiero w dwadzieścia cztery godziny później przekonali się osadnicy, że wywody Mac Dougala miały pewien, inny jeszcze, ukryty cel. Dowiedzieli się mianowicie, że Mac Dougal na mocy pełnomocnictwa, dającego mu pod nieobecność Hunta zupełne prawo rozporządzania majątkiem kolonii, sprzedał futra i zapasy towarów za śmiesznie niską cenę Kompanii Północno-zachodniej.

Wiadomość ta wywołała wśród Amerykanów powszechne oburzenie; Robert Stuart

niedwuznacznie wcale wyraził je w oczy sprzedawczykowi:

— Położenie nasze—rzekł—nie jest bynajmniej tak krytyczne, aby usprawiedliwiało podobny sposób postępowania. Przecież to oburzające, aby marnować w ten sposób naszą ciężką, kilkoletnią pracę i zyskami jej napychać kieszenie naszych współzawodników.

— Miarkuj swój język, młodzieńcze—odparł obrażony Mac Dougal. — Nie jestem bynajmniej obowiązany zdawać panu rachunków z tego, co uczyniłem. Tylko pan Astor może tego odemnie wymagać.

— Poddaleś się pan, nie ujrawszy nawet wroga na oczy. To istotnie odwaga!

— Podałem się, bo długo nie moglibyśmy się opierać. Więc im wcześniej załatwimy te targi, tem lepiej i dla nas i dla pana Astora.

— Mogliśmy się schronić do stacyi w górze rzeki. Niechnoby Anglicy spróbowali tam pójść za nami. Droga lądowa zawsze stała przed nami otworem.

Na zarzut ten, zupełnie słuszny, Mac Dougal nie odpowiedział słowem. Odwrócił się tyłem ze złością i udał się do Mac Tavisha, z którym teraz ciągle obcował.

Tam, w obozie angielskiej Kompanii, rozbitym nad brzegiem rzeki, panowało w tej

chwili niezwykle ożywienie. Pośpiesznie pakowano w czółna dopiero co zakupione futra i zapasy. Albowiem właśnie nadbiegło kilku czerwonoskórych z wiadomością, że ku wybrzeżom morskim zbliża się jakiś wielki okręt żaglowy.

I w osadzie wiadomość ta rozszerzyła się szybko.

Zarówno amerykańców jak Anglików opanowało wielkie podniecenie.

Jeżeli był to statek angielski, to dla osady amerykańskiej wybiła ostatnia godzina. Ale dla czegoż okręt przybywał sam jeden, skoro, wedle otrzymanych poprzednio wiadomości, miał mu towarzyszyć statek angielskiej Kompanii „Isaak Todd“? Jeżeli natomiast był to okręt wojenny amerykański, to położenie Anglików nie było pozazdroszczenia godne.

Mac Tavish pojął to doskonale. Szczekając trochę ze strachu zębami, kazał pakować co żywo w łodzie swą tanio nabytą zdobycz, aby umknąć z nią w górę rzeki, dokąd okręt nie mógłby dotrzeć. Tam chciał oczekiwać na wiadomość, czy to wrogowie czy przyjaciele się zbliżają, aby stosownie do tego, albo powrócić na brzeg morza, albo ruszyć dalej drogą lądową. Słowem czynił to

samo, co młody Stuart doradzał Mac Dougalowi.

Mac Dougal pośpieszył na łodzi ku zbliżającemu się okrętowi. Poprzednio już rozkazał wiosłarzom, aby udawali bądź to angiłów, bądź amerykańców, zależnie od tego, jakiej statek będzie narodowości.

Skoro podплыnęli bliżej ku okrętowi, Mac Dougal już po budowie rozpoznał angielską fregatę. Na boku była wypisana wielkimi literami nazwa: „Racoon“.

Na pokładzie statku powitał go bardzo uprzejmie kapitan i oficerowie. Mac Dougal dowiedział się od nich, że okręt „Isaak Todd“ zatonął wskutek burzy koło przylądka Horn, a fregata „Febus“ wespół z drugim jeszcze statkiem puściła się w pościg za napotkanym po drodze amerykańskim okrętem wojennym.

— A jakież są obecnie pańskie zamiary?—spytał Mac Dougal kapitana Blacka, który przy pomocy lunety rozglądał się po wybrzeżu.

— Wezwę mieszkańców tej nędznej osady, aby poddali się na łaskę i niełaskę.

— A gdyby nie chcieli zastosować się do tego żądania? — ośmielił się zapytać Mac Dougal.

— W takim razie w ciągu dwóch godzin zrównam z ziemią ich marne chałupki.

— Lepiej byłoby uniknąć tego, kapitanie—wtrącił jeden z oficerów. — W takim razie utracilibyśmy spodziewaną zdobycz, a wiemy przecież, że będzie ona niepoślednia.

— Tak, tak — odparł kapitan — oczywiście, spróbujemy najpierw pokojowych układów. Osadnicy nie będą się prawdopodobnie drożyć, byleby ocalić życie. Jutro rano zaraz uda się na ląd nasz pierwszy oficer, aby rozpocząć rokowania.

— Jest to zbyt cenne, jak sądzę—oświadczył Mac Dougal, który, dowiedziawszy się o nadziei marynarzy zdobycia bogatego łupu, pragnął teraz jak najrychlej znaleźć się na lądzie. — Jestem właśnie człowiekiem, stojącym na czele tego przedsięwzięcia i posiadającym wszystkie potrzebne upoważnienia. Najpierw jednak pragnę sprostować pewien błąd. Zupełnie błędnie określono naszą osadę, jako twierdzę. Jest ona, co prawda, uzbrojona na wypadek jakiegoś napadu ze strony czerwonoskórych, ale oczywiście nie potrafiłaby ani przez chwilę stawić oporu okrętowi wojennemu, posiadającemu dwadzieścia sześć armat i stu dwudziestu ludzi na pokładzie. A więc, bardzo proszę, chciej pan jutro, kapitanie, przybyć odrazu osobiście na ląd, a jestem przekonany, że dojdziemy do porozumienia.

Zarówno kapitan jak oficerowie byli bar-

dzo zadowoleni z obrotu sprawy; wbrew oczekiwaniom nie potrzebowali wystrzelić ani ziarnka prochu, aby dostać osadę w swe ręce.

Mac Dougal powracał na łódź niezupelnie spokojny. Obawiał się, że kapitan i załoga wpadną w niemały gniew, skoro dowiedzą się, że to, co spodziewali się zdobyć, przeszło już poprzednio drogą kupna w ręce ich własnych ziomków. Pocięszał się jednak, że gniew ten spadnie głównie na głowę Mac Tavisha, do którego też wprost skierował swe kroki, aby go zawiadomić o przybyciu Anglików.

Po powrocie do kolonii oznajmił osadnikom, że wobec przeważającej siły angielskiej nie można nawet myśleć o stawianiu oporu. Zawiadomił ich też, że jeszcze wieczorem wypłaci im należny żołd, poczem mogą bądź wstąpić do służby angielskiej i przyłączyć się do oddziału Mac Tavisha, bądź powrócić do ojczyzny. Anglicy skorzystali z pierwszej propozycji, natomiast Amerykanie i kilku Irlandczyków postanowiło pod wodzą Roberta Stuarta wyruszyć w żmudną podróż przez góry.

Nazajutrz rano Mac Dougal leżał jeszcze w łóżku, kiedy doszła go wieść, która na chwilę pozbawiła go niemal przytomności. Podczas nocy zebrało się koło obwarowań osady kilkuset Indian, zbrojnych w tomhawki, dzidy i łuki.

Zerwał się szybko z łóżka i pośpieszył na wały. Ujrzał istotnie tłumy czerwonoskórych wojowników, pomalowanych wojennymi barwami, ze skalpami u pasów. Nie mogło ulegać wątpliwości, że wszyscy wstąpili na wojenną ścieżkę.

— Cóż to znaczy? — zapytał Comcomly'ego, który, stojąc na przedzie, prowadził ożywioną rozmowę z innymi wodzami.

— Jakże wielki wódz białych twarzy może nawet pytać o to — rzekł Comcomly, okręcając tomhawk nad stojącą w pióra głową.— Wszak biały brat wie, że czerwoni wojownicy, stojący tu w pogotowiu wojennem, są jego przyjaciółmi.

— Bardzo mnie to cieszy — odezwał się Mac Dougal—ale nie oczekiwałem dzisiaj tak tłumnego przybycia czerwonych braci.

— Skoro mąż mojej córki tak trudno pojmuje, muszę dopomóc jego rozumowi. Kiedy Comcomly dowiedział się o przybyciu wielkiej łodzi wojennej z angielskim sztandarem, zrozumiał, że zarówno jego białym przyjaciołom, jak i jego córce grozi niebezpieczeństwo. Zebrał więc szybko wodzów Czinuków i sąsiednich szczepów na naradę. Wszyscy uznali, że król Jerzy przysłał tu swe wielkie czółno tylko w tym celu, aby zburzyć twierdzę, a mieszkańców jej uczynić niewol-

nikami. Wiedzą już wszyscy, że amerykanie i Anglicy odkopali wojenną siekiere. Więc Comcomly zapytał wodzów, czy zcierpią napad na osadę. Przypomniał im, że Amerykanie pierwsi zajęli te posiadłości i że byli dobrymi przyjaciółmi dla swych czerwonych braci, że wódz bladych twarzy pojął córkę czerwonego wodza za żonę.

Mac Dougal starał się ukryć zakłopotanie, do którego przyłączało się teraz jeszcze palące uczucie wstydu. Nie wiedział na razie, co odpowiedzieć na te słowa.

A tymczasem Comcomly mówił dalej z coraz większym ogniem:

— To wystarczyło. Czerwoni wojownicy pomalowali się i uzbroili do walki i przysięgli, że nie pożałują krwi dla amerykańskich braci. Z radością wchodzi na wojenne ścieżki i wytrwają dzielnie w walce, która z pewnością nie będzie trudna. Wielka łódź wojenna nie może podплыnąć pod osadę. A czerwoni wojownicy ukrywają się w nadbrzeżnych lasach i zabijają swemi strzałami każdego Anglika, któryby chciał się dostać na ląd. Wielki wódz bladych twarzy wspomóż ich grzmotami swej ognistej broni, a tak razem zmusimy wroga do ucieczki. Mój biały brat przekona się, że Czinukowie i ich czerwoni bracia nie-

tylko słowem lecz i czynem dowiodą swej przyjaźni i wierności.

Mac Dougal ochłonał wreszcie z pierwszego wrażenia, tem więcej, że ujrzał w oddali łódź, wiozącą zapewne angielskiego kapitana do osady. W kwiecistych słowach podziękował indyjskiemu wodzowi i jego towarzyszącom za okazany dowód przyjaźni, zapewnił go jednakże, że osadzie nie grozi niebezpieczeństwo.

— Oto widzę tam już—kończył— wodza wielkiej łodzi angielskiej, który przybywa tu wymienić ze mną uścisk przyjaźni. Wobec tego wielcy wodzowie najlepiej uczynią, jeżeli rozpuszczą czerwonych wojowników i wraz ze mną powitają przyjacielsko przybyszów, którzy w tej chwili właśnie wysiedli na ląd.

Powiedziawszy to, pośpieszył naprzeciw kapitana.

Comcomly stał osłupiały; nie mógł pojąć tego, co się dzieje. Wytlómaczył mu trochę wypadki dopiero Robert Stuart, który w tej samej chwili opuszczał osadę na czele kilkunastu ludzi, wyruszających razem z nim w puszcze.

Wtedy czerwoni wojownicy poczęli się rozchodzić powoli, pocieszając się tem, że nie na długo zapewne okładają wojenną siekiere.

Comcomly szedł przygnębiony za nimi, kończąc rozmowę z młodym Stuartem.

— Comcomly smuci się bardzo—mówił— że córka jego poślubiła nie wielkiego wojownika, lecz tchórza.

— Tak—odezwał się Robert Stuart z niezmiernem rozgoryczeniem—tchórza, niedołęgę i nikczemnika, który lekkomyślnie zniszczył wielkie, doniosłe dzieło.

Potem rozstali się, udając się każdy w swoją drogę.

Tymczasem kapitan Black oglądał osadę w towarzystwie Mac Dougala. Wyśmiewał obwarowania i drwił, że zburzyłyby je jednym wystrzałem. Kiedy jednak dowiedział się o sprzedaży futer i zapasów, wpadł w prawdziwy szal złości.

Mac Dougal cierpliwie i pokornie słuchał jego wyrzutów, tłómacząc, że sprzedaż przeprowadzono jeszcze przed przybyciem wojennego okrętu, że więc on sam nie ponosi żadnej winy.

Ostatecznie kapitan musiał się pogodzić z myślą, że przebiegli kupcy podeszli go i obrócili w niwecz jego rachuby.

Kiedy wreszcie przeminęła burza, Mac Dougal zapytał, co się stanie z osadą.

— Oczywiście już od tej chwili jest osada angielską posiadłością, tak samo jak wszystkie otaczające ją ziemie.

Równocześnie zawiadomił kapitan, że

w najbliższych dniach obejmie ją uroczyście we władzę angielską.

Dzień 12-go grudnia 1813 roku był ostatnim dniem istnienia Astoryi.

Kapitan Black przybył do twierdzy w towarzystwie wszystkich oficerów, kazał wywiesić wszędzie angielskie sztandary i objąwszy „w imieniu króla“ całą krainę w posiadanie, zmienił nazwę „Astorya“ na „Twierdza Jerzego“.

E p i l o g.

Najboleśniej odczuł upadek osady jej twórcą, Jan Jakub Astor, który w przedsięwzięcie to włożył tyle energii, tyle pomysłowości i tyle pieniędzy.

Ale nawet ta klęska nie zniechęciła go jeszcze do ulubionego projektu.

Po zawarciu pokoju niejednokrotnie czynił starania, aby przekonać rząd Stanów Zjednoczonych, jak doniosłe znaczenie miałyby to dla państwa, gdy Ameryka zdołała wydrzeć Anglikom handel z Chinami i z państwami, leżącymi nad brzegami Oceanu Spokojnego. Wykazywał, że potrzeba tylko uzyskać stałe punkty oparcia, aby cel ten osiągnąć. Dowodził, jak znaczne handlowe i polityczne korzyści uzyska Anglia, jeżeli rząd Stanów Zjednoczonych nie położy kresu jej zabobroczności i pracy kolonizacyjnej na zachód od Gór Ska-

listych. Co więcej, wyraził gotowość, że jeszcze raz powoła do życia to dzieło własnymi funduszami, jeżeli tylko rząd związkowy przyrzeknie mu potrzebne poparcie polityczne w walce handlowej z Anglikami.

Niestety, nie słuchano jego nawoływań, nie zwracano na nie uwagi. A skutkiem było to, że Stany Zjednoczone dopiero w wiele lat później zajęły w światowym handlu to stanowisko, jakie Jan Jakub Astor chciał zapewnić swej przybranej ojczyźnie już na początku dziewiętnastego stulecia.

Wielki pionier handlu amerykańskiego nie znalazł poparcia, jakiego potrzebował i musiał wreszcie wyrzec się urzeczywistnienia swego ukochanego i tak mądrze obmyślanego planu.



93359/2